WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 30 (303)
ROK VII
23 lipca 1967 r.

Stanisław Piętak

DLA TYCH

Dla tych, co zaledwie pierwsze kroki stawiają
i oczu matek jak chleba i we śnie szukają.
Dla tych, co pochyleni nad ławkami w szkole
tropią kształt ziemi i nieba i jak na kole
oczyma wyobraźni mkną w kraje i wieki.
Wychodzą na szczyty gór, przepływają rzeki...

Dla tych, co noszą w myśli już postanowienia —
i jeszcze noc tuła się po dróg mokrych cieniach,
budzą się, chwytają pędzel, cyrkiel, pióro
i tworzą szczęśliwym rytmom serca ku wtórom...

Dla tych i dla przyszłych. O, nie ma wybaczenia —
chrońmy pokój i czas budowy bez wytchnienia.
Nasze dzieci niech cieszą się w wiosennych gajach.
Niech biegną w słońcu, kąpią się w górskich ruczajach

Kiedyś, gdy sprostuje was dojrzałe życie,
naszą młodość, czarną od lęku, zobaczycie.

Stefan Bratkowski

JACY JESTEŚMY?

Pewien Kalifornijczyk o łacińskim nazwisku, które spotkać można w każdym podręczniku socjologii, Emory Bogardus, opracował przed laty skalę pomiarową, która służy do określania stanu... uczuć. Według fachowego terminu nazywa się to „badaniem dystansu społecznego", ale w gruncie rzeczy chodziło po prostu o zmierzenie siły sympatii i antypatii Amerykanów wobec różnych mniejszości narodowych.

Dlaczego wspominam tu dzieło pana Bogardusa? Bo warto by zadać sobie pytanie akurat odwrotne, niż jego ankiety: — Jak właściwie my, Polacy, oceniamy samych siebie? Jak się widzimy, na ile się akceptujemy?

Skala Bogardusa nie będzie nam mogła służyć do pomiaru sympatii, jaką żywimy wobec samych siebie, ale problem istnieje, nie zrodził się z kanikularnego braku tematów.

DOBRZE PRACOWAĆ WE WŁASNYM KRAJU

Jacy bo też my właściwie jesteśmy? Cośmy zdziałali, jakeśmy się zmienili?

Oto pierwszy lepszy z obiegowych sądów: „Nie umiemy porządnie pracować we własnym kraju". Czyżby?

Przez dziesiątki lat, rzecz ogólnie biorąc, Polacy musieli o swój kraj wojować, i tradycje pracy i pozytywnego rozwijania kraju, jeśli się nawet narodziły, nie mogły w tej sytuacji zdobyć dominującej pozycji. Aby przekonać się o tym, starczy porównać liczbę publikacji, które poświęcono u nas walce zbrojnej w czasie okupacji i... systemowi podziemnej oświaty, bohaterstwu codziennej, mrówczej, a jakże niebezpiecznej pracy! Byli partyzanci i żołnierze opisują swe dzieje wojenne, ale mało który opowiada, ile wysiłku włożył w odnowę życia narodu w pierwszych latach powojennych! A przecież to ci sami ludzie potem uruchomili elektrownie, odbudowali fabryki, organizowali życie społeczne — w warunkach zgoła wartych wielkiej epopei!

Jeśli „nie umiemy pracować we własnym kraju", to jakim sposobem stoi to wszystko, co można w Polsce obejrzeć na własne oczy, skąd się wzięły te odbudowane z ruin miasta, stworzone od podstaw nowe gałęzie przemysłu? Przecież nikt tego za nas nie zrobił, nikt nam miliardów dolarów nie ofiarował na rekonstrukcję, nie dostaliśmy gigantycznych kredytów, ale „spaloną ziemię" w spadku po wojennych pożarach. I jeśli już — to raczej z organizacją pracy bywają u nas kłopoty niż z chęcią do pracy i zdolnościami. A gdy porównamy

CIĄG DALSZY NA STR. 2

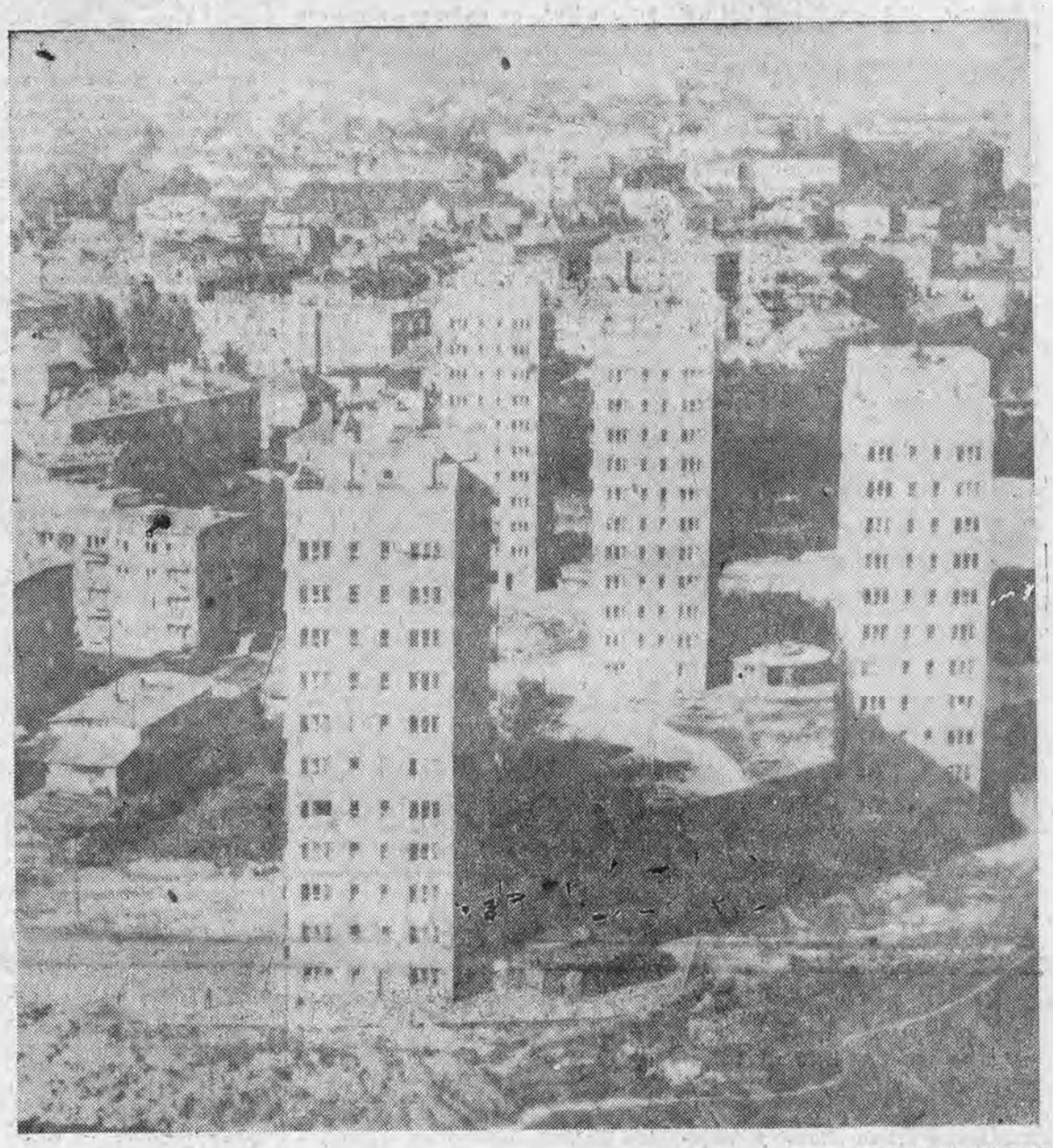

Fot. J. JAWCZAK

Maria Cecylia Guziołek

EPOKA LUDZI ZWYKŁYCH

Wiek XX ma już wiele nazw. Zmieniały się jak w kalejdoskopie. Wystarczał czasem ruch ręki człowieka nieobliczalnego, czasem rzucenie hasła — iskry, by rozgorzał ogień lub rozszalała niszczycielska pożoga, czasem... Określenia piękne, mówiące o twórczym romantyzmie człowieka sąsiadują z nazwami podkreślającymi zwyrodnialcze i hańbiące imię ludzkości dzieje i czyny. Brzmiące nieprawdopodobnie, a są prawdziwe. „Wiek wojen", „Era wolności", „Epoka ludobójstwa", „Wiek zmierzchu kolonializmu", „Epoka podboju kosmosu", „Wiek zwycięstwa człowieka"... Jak nazwie dwudzieste stulecie Historia?

Pragnę, aby nazwała nasze dni — **epoka ludzi zwykłych.**

* * *

W centrum Przemyśla obwarowany z trzech stron różnymi domami pyszni się budynek o niecodziennej architekturze. Witraże wysokie, sięgają nieomal przyciężkawych sklepień łukowych dachu. Ta bryła architektoniczna ma coś z majestatu piękna. To dawna synagoga. Z pietyzmem odrestaurowana po zniszczeniach wojennych. Od kilku miesięcy służy miłośnikom książki, wiedzy, kultury. Jest siedzibą Miejskiej Biblioteki Publicznej.

Dział dziecięcy jego mali użytkownicy nazywają „pociągiem". Dlaczego? Kierowniczka czytelni dziecięcej biblioteki, pani Henryka Klein — mój cicerone po przemyskim królestwie książek — naprowadza mnie na źródło inspiracji tej pozornie tylko żartobliwej nazwy. Wieloznaczność słowa „pociąg" ma tu szerokie zastosowanie i może dobrze służyć we wszystkich możliwych przypadkach i wariantach. Nazwa jednak powstała ze zwykłego skojarzenia wyglądu wypożyczalni książek z wagonem kolejowym. Długi korytarz i prostopadle do niego ustawione regały tworzą niby przedziały. W tym pociągu każdy przedział potrafi przenieść małego fantastę w wymarzoną krainę. Trzeba tylko umieć do niego trafić. Znakiem wywoławczym podróży w nieznane jest książka. I właśnie w zdobywaniu umiejętności sterowania własnymi podróżami w nieznane pomaga m. in. Czytelnia Dziecięca. Mnóstwo tu zieleni, lekkie przepierzenie dzielące czytelnię od składnicy książek pełne wesołych maskotek i ślicznych drobnostek. Na parapetach zalążek — jak się później dowiedziałam — hodowli kaktusów.

Kojąca cisza, zieleń, poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Intuicyjnie stąpa się na palcach i mówi półgłosem, by nie zakłócić atmosfery. Nie jest to spokój bezczynności rozleniwionej. Właśnie przede mną pojawiają się sterty albumów konkursowych na temat ochrony ojczystej przyrody.

— Proszę popatrzeć, jakie ładne, ile pracy włożyły w nie dzieci. Jak wyselekcjonować kilkanaście najlepszych, kiedy wszystkie ciekawe. — Zakłopotanie pani Henryki jest wzruszająco szczere.

Czytelnia jest miejscem rozbudzania zainteresowań dzieci i młodzieży. W planie ma wiele ciekawych, nowatorskich imprez. Tu powstaje m. in. pierwszy w województwie klub młodych miłośników muzyki.

Wychodząc z biblioteki wiedziałam, że dzieci, które raz tu już trafią, będą wracały i do czytelni, i do „pociągu", którym mogą dojechać, nawet tam, gdzie się im nie marzyło.

* * *

Przeźroczyste kule pełne zwitków z napisem loteria książkowa są moim totolotkiem. Ulegam zawsze ich czarowi. Niedawno właśnie sięgnęłam po jedną z „magicznych" karteczek i los się uśmiechnął. Za wygraną wybrałam opowiadania Andrzeja Brychta „Dancing w kwaterze Hitlera". Niewielka książeczka w broszurowej oprawie. W tytułowym opowiadaniu jednym z małych bohaterów jest przewodnik po kwaterze Hitlera, który utkwił swym jestestwem w latach tuż powojennych i już nie potrafi przekroczyć progu tamtych dni. Dochodzi do dziwacznych qui pro quo. Chcąc przybliżyć wyobraźni dzieci tragedie, które towarzyszyły powstawaniu „wilczego gniazda" stwierdza, że może rodzic któregoś z obecnych dzieci tu zginął. Gdyby tak było, nie istniałyby przecież... Nie prostuje nonsensów. Dla niego czas stanął. Wszystko późniejsze przechodzi mimo niego. Jest filmem który tylko widzi, rejestruje, nie kojarzy z niczym...

Dwa pokolenia, używają tych samych słów. Mają one jednak różne znaczenia, jakby mówili różnymi językami. Bo kto to był Hitler? W pojęciu nastolatków postać historyczna o strasznym życiorysie. Ale pytają, jakim był rzeczywiście i znów w usłyszaną prawdę nie wierzą!

„Dancing" poprzedza opowiadanie pt. „Wycieczka do Birkenau". Co to jest Birkenau, gdzie to jest?

Oświęcim - Brzezinka największe cmentarzysko świata. Grób 4 milionów ludzi, z których nikt nie przeniósł się w zaświaty w sposób naturalny. Śmierć przybierała tu potworne, jak nigdy, kształty. Wyrafinowanie przeszło wszelkie wyobrażenia ludzkie. O tym wiedzą ci, którzy przeżyli piekło obozów. Mówią o tym dokumenty z trudem zachowane.

Przypadkowy uczestnik wycieczki urodzony w latach wojny — jeden z kilku milionów jemu podobnych — nie wierzył ludziom, nie wierzył słowom dopóki nie znalazł się sam na terenach zbrodni. Uciekł, gdy przemówiły fakty obrosłe przecież już patyną minionych dwudziestu kilku lat, jakie upłynęły od momentu zagaszenia ognia w piecach krematoryjnych. Uciekł, by wrócić znów tam, by uwierzyć, że piekło stworzone przez ludzi przechodzi każdą fantazję!

* * *

Nie czytywałam książek Verne'a ni Lema. Zaczęłam się nimi pasjonować, gdy pierwszy człowiek wyruszył na romantyczną wyprawę we wszechświat, a po nim już cała plejada dzielnych i pięknych ludzi, kiedy między fantastyką — tak twórczość wspomnianych pisarzy się określało — a rzeczywistością było wiele stycznych.

Taki jest nasz wiek! Sprawy niby „wydumane" stają się realne. Co myśl normalnego człowieka nie była w stanie stworzyć, realizowali „nadludzie". Groźne określenie „nadczłowiek", spopularyzowane w latach czterdziestych, nie przeszło do historii i straszy od nowa. Czy nasi następcy będą mogli umieścić je w słowniku archaizmów?

Słyszałam przed kilkoma tygodniami słuchowisko fantastyczne. Na Ziemię wrócił po wieloletniej nieobecności z jednej z planet człowiek, zasłużony pionier — kosmonauta. Wrócił do ludzi, oni go nie przyjęli. Bali się go, bo nie był pozbawiony umiejętności zabijania. Ziemianie, w krótkim okresie, we własnej samoobronie wyzbyli się tej

CIĄG DALSZY NA STR. 2

C. BŁOŃSKA

RZECZY?

POŻYTEK, KLĘSKA URZECZENIE,

Swą powieść lub mikropowieść pod tytułem „RZECZY" obejmującą niecałych 130 stronic druku, Georges Perec nazwał historią z lat sześćdziesiątych. W ten sposób bohaterowie książki — dwudziestoczteroletni Jerome i dwudziestoletnia Sylwia — ich los, a przede wszystkich ich zamiłowanie do rzeczy (tytuł oryginału tłumaczonego z j. francuskiego przez A. Tatarkiewicz, Wydawnictwo PIW 1967, opiewa „LES CHOSES"), mieliby reprezentować pokolenie rówieśników. Młodzieży francuskiej, która jak Jerome i Sylwia przyszła na świat w środowiskach mieszczańskich, częstokroć w małych francuskich miasteczkach, a w roku 1960 — i później — mieszka, żyje w Paryżu, wystawiona na wszystkie jego uroki, niepokoje, pokusy.

Są to namiętności j e d n o s t r o n n e, pragnienia wąskie i jak najbardziej materialne. Urzeka ich i fascynuje byle wystawa sklepowa, wciąga wnętrze domu towarowego, przykuwa wyprzedaż powszechna w każdym zaułku paryskiej ulicy. Spokój i równowagę ducha zakłóca im nieosiągalna, wyszukanej elegancji, zamszowa kurteczka, rzadkiego kroju moherowy pulower. Jej zapiera dech wykwitny „bliźniak", którego nie jest w stanie nabyć. On doznaje dojmującego poczucia życiowej klęski, gdy nie może kupić efektownego pseudoantyku, chociaż ten całkowicie nie pasowałby do ich ubożuchnego, ale miłego mieszkanka, w którym mogliby być naprawdę szczęśliwi. Uczyć się, kontynuować studia, obcować z wartościowymi książkami. I żyjąc w Paryżu, acz niezamożni, korzystać z bezcennych dóbr kultury.

Ale oni nie są i nigdy nie będą szczęśliwi, zadowoleni ze swego losu, gdyż nieustannie trapi ich pożądanie rzeczy — odzieży, sprzętów, zasobnie urządzonego mieszkania, sakwojaży, jakie widują na srebrnym ekranie u gwiazd filmowych, odgrywających beztrosko podróżujące milionerki. Porzucają więc bez większego żalu studia i na ciągle zmieniającym się, podlegającym koniunkturalnym baissom rynku pracy, jawią się jako psychosocjologowie. Jest to praca nie stanowiąca zawodu w całym tego słowa znaczeniu, ale zapewnia wiele wolnego czasu i niezłe dochody; polega na przeprowadzaniu wywiadów różnymi technikami na temat chodliwości i atrakcyjności artykułów małego i wielkiego przemysłu.

Dążąc do pozornej wolności nieograniczonej obowiązkowymi godzinami pracy, pożądają równocześnie tysięcy przedmiotów, które nie tyle miałyby im służyć do ułatwiania życia, ile znamionować b o g a c t w o. „Ich urzeczenie dostatkiem, dobrobytem przybierało najczęściej formy niemądrych kultów; w takich razach unosili się w gronie przyjaciół nad „genialnością" jajki czy niziutkiego stolika, czyniąc z nich po prostu dzieła sztuki, obiekty muzealne... Zbyt często w tym, co nazywali luksusem, kochali jedynie kryjące się za nimi pieniądze. Nie potrafili oprzeć się zewnętrznym oznakom bogactwa; bogactwo kochali bardziej niż życie. Szczególnie wymowne były pod tym względem ich pierwsze ucieczki ze świata studenckiego, pierwsze wypady w ów krąg luksusowych sklepów, które rychło stały się ich „Ziemią obiecaną".

...Tym, którzy znają Paryż i nie ustrzegli się wyczerpującej włóczęgi od wystawy do wystawy, wzdłuż i wszerz wielkiego placu Saint-Sulpice w Quartier Latin, szczególnie trafne wydadzą się obserwacje pisarza o dręczących postojach młodej pary przy antykwariatach, księgarniach, sklepach z płytami, jadłospisach restauracyjnych, agencjach podróży, przy krawcach i szewcach, sklepach z koszulami, z serami i ze słodyczami... Ich szlaki składały się na ich prawdziwy świat — z nim wiązały się ich ambicje, ich nadzieje".

Dla spełnienia tych aspiracji spróbują żmudnego zarobkowania aż w piaszczystym i dalekim Sfaksie, by niczym bankruci pozbawieni wszelkiej radości życia, powrócić do Paryża, znowu na moment wolni, na chwilę szczęśliwi w tym mieście, które umiłowali. Autor rozstanie się z nimi na zawsze, gdy zatrwożeni o swą zasobną przyszłość, w której oby nigdy nie zabrakło im wykwintnej bielizny, luksusowych rękawiczek, efektownych sprzętów, sprzedadzą swą iluzoryczną wolność bogatemu przedsiębiorcy, prowadząc mu agencję reklamową na prowincji.

Nie raz i nie dwa pisarz nazwie ich pogardliwie ludźmi nowymi, odmianą dorobkiewiczów, i niszczącą zachłanność rzeczy położy na karb drobnomieszczańskiego pochodzenia, braku jakoby intelektualnej tradycji. To właśnie — stwierdza — z sarkazmem — dla tych łososi, dywanów, kryształów matki — ekspedientka i fryzjerka — wydały ich na świat przed dwudziestu pięciu laty.

To przede wszystkim oni sami i całe pokrewne im pokolenie zaprzepaszczają swoje szanse w pustej pogoni za blichtrem. Dezerterując ze studiów, jak Sylwia posługują się po tym w swym stereotypowym zajęciu strzępami socjologii, psychologii-statystyki, operują wytartymi frazesami, cytatami z książek, z których nie przeczytali nawet trzech stron.

I co najtragiczniejsze: kiedy w wieku lat 30 dobiją do prosperity stanowiącej wstęp do rzeczywistej uczty, j e d z e n i e, jakie im wówczas podadzą, o k a ż e s i ę z u p e ł n i e b e z s m a k u.

W swym debiucie młody francuski pisarz z wykształcenia socjolog, laureat nagrody Renaudot, zdradza niepośledni talent. Jego „Rzeczy" w drapieżnej realite des choses przypominają arcydzieła klasycznej francuskiej powieści realistycznej: z tym że jakieś bardzo nowoczesne refleksje śmiało a bezbłędnie lokują tę prozę we współczesności, nam bliskiej i ze względu na czas, i na rozległą warstwę obyczajową i społeczną.

Chętnie słuchałabym dyskusji nad „Rzeczami" w naszym młodym środowisku twórczym, w klubach studenckich. Jest bowiem w tej niewielkiej i nietypowej powieści, którą pisarz kończy cytatem z Marksa o konieczności wyników badań zgodnych z prawdą, wiele prawd charakterystycznych nie tylko dla pewnej części młodzieży na Zachodzie, upatrującej swe szczęście w akumulacji dóbr konsumpcyjnych, w dość konformistycznie pojętej wolności.

Dramatyczny wyścig od mikrusa do taunusa, ambicje mieszkania w amfiladzie, posiadania willi z ogrodem, nerwowe zamiany przytulnego wełnianego płaszcza na ciężkie b o g a t e futro... Ów rujnujący nerwy, wyczerpujący siły wyścig, wymagający często krętactw, nierzadko konfliktów z prawem, częstokroć z etyką i własnym sumieniem, rezygnacji z uczuć bezinteresownych, pogodnych, nie jest u nas bynajmniej zjawiskiem sporadycznym.

Lektura „Les choses" pozwala pełniej zrozumieć je. I w sposób bardziej jednoznaczny kwalifikować. Jako klęskę...

EPOKA LUDZI ZWYKŁYCH

Fot. J. LIGEZA

Miłośnicy filmu odpoczywają

Najlepszym środkiem na zachowanie nawet wielkiej miłości jest — podobno — rozłąka. Ale zapewne nie dlatego, a gwoli tradycji Dyskusyjny Klub Filmowy Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie zawiesił swą działalność na okres letni. Pożegnanie kolejnego sezonu przebiegło zupełnie nietypowo, bowiem słowa: „Do zobaczenia we wrzesniu, przyjemnego urlopu i wiele słońca" — poprzedziła rzeczowa ocena pracy klubu przez samych miłośników filmu oraz podano propozycje do planu działalności na rok 1967/68. Rada Klubu umówiła się również z zespołem, że wszelkie pomysły oraz innowacje, które mogą przyczynić się do uatrakcyjnienia spotkań DKF, a zrodzą się w okresie letniego rozleniwienia, będą ujęte syntetycznie w formie projektu i złożone w sekretariacie WDK.

Jakie były główne zarzuty? Brak szczegółowych wprowadzeń do filmów trudnych i naprawdę dyskusyjnych, wyświetlanie filmów przedpremierowych nieomal równocześnie z projekcją ich w kinach publicznych oraz organizowanie imprez klubowych przez kilka wieczorów z rzędu. Komasowanie zajęć automatycznie niejako zmniejsza frekwencję, gdyż wielu członków Klubu nie może sobie pozwolić na wygospodarowanie aż tyle wolnego czasu.

Propozycje na przyszłość? Dalsze pokazywanie filmów archiwalnych z uwzględnieniem dawnej produkcji polskiej i większe poświęcanie uwagi krótkiemu metrażowi m. in. przez umożliwienie członkom DKF udziału w krakowskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych i przygotowanie specjalnych projekcji filmów tam nagrodzonych. Szczególnie cenny jest pomysł organizowania co pewien okres pokazów filmów połączonych z prelekcją o innych dziedzinach sztuki, kultury, twórcach i ich dziełach. Naturalnie życzenia o jak najczęstsze spotkania z aktorami, reżyserami — ludźmi filmu ogólnie biorąc, pozostają nadal aktualne, ale trudne jak dotąd w realizacji, bo kluby filmowe do milionerów nie należą.

M. G.

„Listy o miłości" w „Życiu Literackim"

„Życie Literackie" w ostatnim (29/807) numerze pisma zwróciło się do swych czytelników z ciekawym apelem: prośbą o nadsyłanie „Listów o miłości", pomyślanych jako osobiste zwierzenia i obserwacje, a mających udokumentować „współczesny model miłości", ten postulowany i ten realizowany, zależny od konkretnych uwarunkowań rzeczywistości. W „apelu" czytamy m. in.: „Zwracamy się o pomoc do Czytelników; wszystkich ludzi myślących i czujących, którzy przeżyli coś w swoim życiu, mają własne obserwacje i wnioski, własny kapitał doświadczeń, dobrych czy złych, jakim chcieliby się podzielić z innymi ludźmi.

Do Czytelników młodych i starszych, do kobiet i do mężczyzn. Do w s z y s t k i c h, k t ó r z y k o c h a j ą".

Autorzy listów — obiecuje „Życie Literackie" — staną się niejako automatycznie „kronikarzami losów współczesnego człowieka".

JACY JESTEŚMY?

DOKOŃCZENIE 1

skok, jakiego dokonaliśmy SAMI DZIĘKI SOBIE przez ostatnie dwadzieścia lat, z osiągnięciami innych narodów, nie ma się czego wstydzić! Przeciwnie — śmiało możemy być dumni.

BEZ MANDARYNÓW

Nasi najmłodsi nie są w stanie dokonywać pełnych porównań, ale dostrzegają jednak zmiany, jakie zaszły w naszym społeczeństwie, w ciągu tego czasu. Toż przed II światową wojną całe miliony Polaków żyły w sporej odległości od XX-wiecznej cywilizacji, na poziomie — nie oszukujmy się — niemal średniowiecza.

Nie myślę tylko o braku elektryczności, oświaty, czy... mydła, bo z higieną na przykład i dziś nie stoimy najlepiej. Rzecz w sposobie myślenia. Dziś nawet była arystokratka, wyjeżdżająca z wizytą do swych krewnych na Zachodzie, wraca stamtąd, opowiadając, jak ją irytują przedziały społeczne w krajach, jakkolwiek by było, wysoko rozwiniętych. Nas z kolei irytują wyniosłe maniery lub pyszałkowatość tego czy innego współobywatela na wysokim stanowisku, ale sam fakt, że nas może to irytować, uważamy za całkowicie naturalny. Po prostu — mentalność mamy już społeczeństwa demokratycznego, z niechęcią do przywilejów i mandaryńskich obyczajów.

OD KOGO ZALEŻY DEMOKRACJA

Czy jesteśmy społeczeństwem demokratycznym?

Jednym z istotnych cech takiego społeczeństwa jest kultura współpracy i współdziałania w imię wspólnych interesów, którą przejawia dane społeczeństwo na każdym szczeblu swych więzi, w skali wsi, dzielnicy miasta, fabryki, miasta, związku zawodowego.

Czy Polacy tworzą takie własnie społeczeństwo? Pamiętać powinniśmy, że tradycje wzajemnej tolerancji i współpracy też nie bardzo kiedy miały się rozwinąć. Praktycznie dopiero po dokonaniu rewolucji społecznej, po rozwiązaniu podstawowych konfliktów, idea współdziałania ludzi w jej **pozytywnym** wydaniu mogła znaleźć dla siebie więcej miejsca. Czy duży jednak zrobiliśmy krok naprzód?

Nie taki, jakiego byśmy sobie mogli życzyć; nie taki, jakiego potrzebujemy. Ale przecie nauczyliśmy się, że można ze sobą współdziałać niezależnie od różnic w poglądach na istnienia Boga. Pomijając zaś nieliczne wypadki czy świadomie inspirowane przejawy nietolerancji — nauczyliśmy się współżyć ze sobą. Kołtuństwa wprawdzie ciągle nie brakuje, ale ma już ono pełną przeciwwagę w światlejszej części społeczeństwa.

KIEDY ROBOTNIK ZOSTAJE INTELIGENTEM

Wreszcie — oświata i sprawy kultury. Znamienny głos wyczytałem w jednym z pism młodzieżowych, wśród odpowiedzi na pytanie ankiety, czy za inteligenta należy uważać człowieka z dyplomem, czy też człowieka zdolnego korzystać z wszelkiego dorobku duchowego ludzkości. Młody robotnik napisał mniej więcej tak:

„Jeśli mój szef, inżynier, nie czyta nic poza kryminałami, ja zaś znam całą wielką literaturę, jeśli ja pasjonuję się najbardziej „elitarnymi" filmami, a on nie, jeśli ja mogę dyskutować o Leonardzie da Vinci, Strawińskim i rewolucji chińskiej, to na pewno inteligentem jestem ja, nie on".

I oczywiście — ma rację. I myślę, że nie tylko sama liczba ludzi wykształconych może napawać nas dumą, nie tylko sama liczba zdanych matur i uzyskanych dyplomów, czy też wydrukowanych książek. Rwelacją jest zarówno umasowienie dostępu do kultury, jak i rosnące szeregi ludzi jej potrzebujących! Maluczko, a trudno będzie używać pojęcia „inteligencja pracująca", jeśli kwalifikacje umysłowe inteligenta staną się jeszcze bardziej powszechne wśród robotników i chłopów.

* * *

Czy możemy się zaakceptować? Chyba tak. Jeśli tylko to nie oznacza, że osiądziemy na laurach, to — na pewno tak.

STEFAN BRATKOWSKI

(Ciąg dalszy ze str. 1)

cechy. Mord, zabijanie, wojny znać tylko z historii? Szczęśliwi! Czas udowodnił, że niezwykłe sprawy mogą stać się najzwyklejszymi.

* * *

Ulicami wędrują barwne grupki nastolatków. W zasadzie emocje przejścia do wyższej klasy, uzyskania matury, zdania egzaminów na wyższą uczelnię minęły i niezbyt wiadomo co zrobić z mnóstwem wolnego czasu. Są też inni, których edukacja skończyła się w czerwcu i teraz szukają atrakcyjnej pracy. Kanikuła nie sprzyja takim poczynaniom. Pierwsze rozgoryczenia samodzielnego życia dają znać o sobie. Za miesiąc, dwa wszystko się ułoży i codzienność nabierze zwykłych wymiarów.

W słuchowisku nieobecność kosmonauty na Ziemi trwała ponad 25 lat. Ten okres wystarczył, by zaszły ogromne zmiany w psychice nowego pokolenia mieszkańców naszego globu.

25 lat! Tyle nie ma jeszcze Polska Ludowa. Przecież 22 lipca kończy dopiero — może trzeba by tu użyć określenia „już"? — 23 lata.

W stolicy — jak co roku spotkają się członkowie klubu jej rówieśników — dzieci urodzone w dniu ogłoszenia Manifestu Lipcowego. Jest to jedyny w swoim rodzaju klub. Rówieśnicy są już ludźmi zupełnie dorosłymi. I pomyśleć, że ich dzieci będą żyły w całkowicie nowym świecie. Plany perspektywiczne mówią o tym jakże pięknie, i wiemy, że wizja Polski 1980 lat, zaprojektowana z szerokim, romantycznym polotem, wydająca się dziś być obrazem wyjętym z fantastycznego opowiadania — jest realna. Będzie prawdziwa pod warunkiem, że ogromnej pracy towarzyszyć będzie P O K Ó J.

MARIA CECYLIA GUZIOŁEK

Panorama zatytułowana „Za chlebem". Składa się z wielu części, i obrazuje los emigranta górnika we Francji. Autorem tej wielkiej, wielokrotnie wyróżnianej za granicą pracy, jest właśnie polski górnik emigrant — 57-letni Józef Wiącek.

Na zdjęciu: fragment panoramy. Od lewej — Pierwsze spotkanie, Ślub, Wesele.

CAF — UCHYMIAK

Jan Grygiel

NOWA FUNKCJA KULTURALNA RZESZOWA?

Sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej i Plenum Komitetu Miejskiego PZPR w Rzeszowie poświęcone sprawom kultury, które odbyły się niedawno — będą mieć chyba zasadnicze znaczenie dla dalszego rozwoju miasta Rzeszowa. Podjęto tu bowiem m. in. tezę, iż Rzeszów powinien stać się aktywnym centrum kulturalnym całego województwa i zabezpieczono realizację tej tezy odpowiednimi uchwałami. Zarówno WRN, jak i Plenum Komitetu Miejskiego PZPR obradowały nad sprawami kultury nie tylko dlatego, iż w ubiegłym roku odbył się Kongres Kultury Polskiej, a w roku bieżącym VIII Plenum KC PZPR poświęcone tym sprawom, chyba także i dlatego, iż sytuacja w mieście dojrzała do poważnych decyzji i rozstrzygnięć.

Jak wynikało z bilansu dokonanego na Plenum, w ciągu ostatnich kilku lat życie kulturalne i artystyczne Rzeszowa rozwijało się dynamicznie i w ślad za tym postępował rozwój bazy materialnej instytucji kulturalnych. O osiągnięciach w tej dziedzinie dobrze świadczy fakt, iż od roku 1960 powstały np. 4 nowe księgarnie, 8 filii bibliotecznych, średnia szkoła muzyczna oraz Dom Sztuki. Powstały i okrzepły dwie wyższe uczelnie kształcące stacjonarnie około 3 tysiące studentów i wywierające coraz wyraźniejszy wpływ na rozwój nauki i kultury w mieście.

W ślad za rozwojem materialnej bazy kultury szedł szybki rozwój aktywności środowisk twórczych, inicjatyw i stałych imprez artystyczno-kulturalnych o zasięgu ogólnokrajowym, dobrze świadczących o prężności i ambicjach kulturalnych Rzeszowa. Osiągnięciem ostatnich lat rzeszowskiego życia artystycznego jest powstanie środowiska literackiego manifestującego swoją obecność publikacjami w prasie oraz coraz liczniejszymi książkami.

Można by dość długo wyliczać fakty świadczące o ciągłym wzrastaniu rangi Rzeszowa jako twórczego ośrodka kulturalnego. Ale równocześnie trzeba sobie zdawać sprawę z procesu szybkiej urbanizacji miasta, z ciągłego rozrastania się jego obszaru i stałego wzrostu ilości mieszkańców. W tej sytuacji istniejąca baza materialna działalności kulturalnej nie zaspokaja już zadowalająco potrzeb mieszkańców Rzeszowa. Jeśli przewiduje się, że miasto wkrótce będzie liczyło 100 tysięcy mieszkańców, a około roku 1980 — 160 tysięcy i jeśli zakłada się, iż musi ono być centrum kulturalnym dla całego województwa, zadania w dziedzinie inwestycji kulturalnych w Rzeszowie są olbrzymie. Już w tej chwili stan bazy materialnej poważnie ogranicza możliwości prawidłowego rozwoju życia kulturalnego w mieście. Konieczna jest budowa nowego gmachu teatralnego — mały, ciasny budynek dawnego Sokoła w obecnej sytuacji już nie wystarcza. Brak w mieście warunków dla pracy teatru dziecięcego i dla Estrady. Aby „Kacperek" i PPIE Estrada zaczęły rozwijać dalszą działalność, muszą mieć w przyszłości do dyspozycji własne lokale teatralne. Nie wystarcza już w mieście ilość kin. Na blisko 80 tysięcy mieszkańców istnieje w Rzeszowie teoretycznie 6 kin, ale tylko 2 z nich liczą się naprawdę — „Zorza" i „Apollo". Pozostałe kina dysponują maleńkimi salami bądź to w Domach Kultury, bądź w remizach strażackich, jak peryferyjne kino „Goplana". W międzyczasie nawet jedna duża sala kinowa („Świt") została zlikwidowana. Ten stan budzi żywy niepokój i dlatego projektowana budowa nowego kina przy ul. Obr. Stalingradu jest sprawą niezwykle pilną. Katastrofalna jest sytuacja lokalowa bibliotek w Rzeszowie. Nie powinno się dłużej zwlekać z budową gmachu dla Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, jeśli zależy nam na prawidłowym upowszechnianiu czytelnictwa. Biblioteka Pedagogiczna pracuje w warunkach niedopuszczalnej ciasnoty lokalowej. Brak jeszcze w mieście lokali dla filii bibliotecznych, brak miejsc w czytelniach publicznych. Z uwagi na wciąż rosnącą ilość młodzieży studiującej w rzeszowskich uczelniach, należy dążyć do zapewnienia jej w czytelniach właściwych warunków pracy. Zupełnie brak obiektów kulturalnych na peryferiach miasta: na Drabiniance, w Staroniwie czy Pobitnem. Wciąż jeszcze niestety budujemy nowe osiedla, czy dzielnice bez podstawowej sieci usług kulturalnych. Stąd później występuje spiętrzenie inwestycji kulturalnych, brak mocy przerobowej, brak środków, podczas gdy wznoszenie na bieżąco, w ramach realizacji inwestycyjnej zespołów mieszkaniowych — kin, klubów czy lokali bibliotecznych zapobiegłoby tym kłopotom.

Uchwała Plenum Komitetu Miejskiego PZPR „W sprawie dalszego rozwoju twórczości kulturalnej i upowszechnienia kultury socjalistycznej na terenie miasta" wskazuje jeszcze na sporo innych potrzeb w dziedzinie kultury. Między innymi postuluje przekazanie miastu na potrzeby kulturalne zamku rzeszowskiego. Tam można by zlokalizować muzeum ruchu rewolucyjnego, galerię malarstwa, młodzieżowy dom kultury oraz siedzibę wszystkich społecznych towarzystw naukowych i regionalnych. Czym może być taki obiekt kulturalny dla miasta świadczy wymownie przykład zamku w Lublinie.

Nie wszystkie inwestycje można i trzeba realizować zaraz. Nie wszystkie potrzeby mogą być już zaspokojone. Ale dobrze się stało, że zarówno w uchwale sesji WRN, jak również w uchwale Plenum KM PZPR zarysowano szczegółowy perspektywiczny plan rozwoju bazy kulturalnej miasta w związku z perspektywami jego rozwoju urbanistycznego i w ścisłej zależności od rozwoju kulturalnego województwa. Teza o centrum kulturalnym Rzeszowa dla całego regionu zobowiązuje i do skrupulatnego przemyślania funkcji kulturalnej miasta, i do wielkich wysiłków i nakładów finansowych.

Ale sporo problemów można i trzeba rozwiązać bez nowych inwestycji. Istnieje np. w Rzeszowie sporo świetlic i klubów zakładowych nieraz dobrze wyposażonych, które nie rozwijają żadnej działalności. Służą tylko za miejsce zebrań załogi, odbywają się w nich uroczystości zakładowe czy akademie. Prawie ich nie widać w kulturalnej topografii Rzeszowa. Szczególnie odczuwa się brak klubu, który dostarczyłby kulturalnej rozrywki młodzieży Rzeszowa, zwłaszcza tej niepracującej i nieuczącej się. Kiedyś istniał klub ZMS „Iskra", ale zlikwidowano go ze względu na kłopoty, jakie sprawiała młodzież „trudna", ze względu na ekscesy, jakich się dopuszczała. Obecnie ta sama młodzież wałęsa się i dopuszcza ekscesów we wszystkich kawiarniach i lokalach Rzeszowa, pozbawiona jakiejkolwiek opieki i straszliwie znudzona. Utworzenie ogólnodostępnego klubu młodzieżowego, w którym młodzież mogłaby potańczyć, zabawić się i ulegać jakimś atrakcyjnie i mądrze realizowanym wpływom wychowawczym jest pilnie potrzebne.

Podstawowym warunkiem skutecznej działalności wszystkich placówek k. o. w mieście jest dokładne uświadomienie sobie przez ludzi, którzy je prowadzą komu ma ich praca służyć. Rzeszów jest miastem z awansu społecznego, w którym zdecydowaną większość stanowią ludzie nowi ze środowisk wiejskich i małomiasteczkowych. Należy cierpliwie i mądrze wciągać tych ludzi w orbitę zainteresowań kulturalnych i stosować takie formy pracy, by nie rozmijać się z ich potrzebami w tej dziedzinie. Nie zawsze dotąd dostatecznie tę strukturę demograficzną miasta uwzględniają w swoich zamierzeniach i kierunkach działania instytucje i placówki kulturalne. Niedostatecznie udało się dotąd objąć działalnością upowszechniającą teatr, muzykę czy plastykę, środowisko inteligencji technicznej i środowisko robotnicze. Te grupy społeczne do dziś pozostają na uboczu od głównego nurtu życia kulturalnego miasta.

Komentarz ten nie wyczerpuje bogactwa problematyki zawartej w referacie sekretarza KM PZPR tow. Bronisława Błażeja, w dyskusji i w uchwale Plenum. Wynotowałem tylko niektóre zagadnienia stanowiące przedmiot obrad. Zarówno Sesja WRN, jak i Plenum KM PZPR skłaniają do optymizmu. Bilans dotychczasowych osiągnięć jest tak bogaty, zwłaszcza jeśli uwzględni się sytuację wyjściową Rzeszowa w roku 1945, iż stwarza przesłanki do uzasadnionej dumy. Troska, wnikliwość, poziom wymagań od przyszłego centrum kulturalnego ziemi rzeszowskiej, rzeczowość postulatów i gospodarskie podejście do tych spraw każą wierzyć, że przyszłość będzie równie owocna dla rozwoju kultury Rzeszowa.

Zamierzenia rzeszowskiego środowiska plastycznego

Rozmowa z prezesem Zarządu Okręgu ZPAP w Rzeszowie — Jerzym Majewskim

Nie tak dawno odbyły się wybory nowych władz Zarządu Okręgu. Naszych czytelników interesują inicjatywy i plany Waszego środowiska?

— Zasadniczym problemem jest rozwój twórczy plastyków. Wiemy jednak, że niektórzy nasi koledzy spoza Rzeszowa borykają się z różnorakimi trudnościami. Nie we wszystkich miastach naszego województwa istnieje współpraca władz terenowych z kółkami ZPAP. Wymowny jest fakt, że w jednym z wydziałów kultury Prezydium PRN nie wiedziano, że w mieście tym mieszka zawodowy plastyk. Niejednokrotnie członek ZPAP pozbawiony jest zamówień na prace plastyczne, które są podstawą jego egzystencji. Dość charakterystyczne jest zjawisko: gdy plastyk wykona pracę z zakresu swoich specjalności, która nie została oceniona przez komisję artystyczną, organa kontroli reagują natychmiast na to „przestępstwo", natomiast jeśli pracę zrealizował amator bez uprawnień i odpowiedniego wykształcenia, to faktem tym nie interesuje się nikt tak od strony formalnej, jak i oceny artystycznej.

Nieodosobnione są głosy o aktywności rzeszowskiego środowiska plastycznego. W czym może liczyć na was nasze miasto i województwo?

— Istnieją możliwości współpracy plastyków przy upiększaniu Rzeszowa i innych miast powiatowych. Przez upiększenie rozumiemy dobrze zaprojektowany neon, szyld, ścianę reklamową, pomnik czy cały zespół architektoniczno-plastyczny. Z żalem stwierdzamy, że sprawy te nie zawsze są doceniane przez organa administracji, które wydają zezwolenia na prowadzenie warsztatów dekoratorskich, a co gorsza, że w warsztatach tych wykonuje się również projekty. Jest to problem dość złożony i dlatego dążyć będziemy do zmiany form współpracy między Zarządem Okręgu a Wydziałem Kultury Prezydium WRN, który może wykorzystać swoje kompetencje i w sposób zasadniczy zmienić obecną sytuację. Istnieje zresztą ku temu miła atmosfera i jesteśmy dobrej myśli.

— Kiedyś pisałem „Nie tylko o obowiązku obalania barier", podkreślając rolę, jaką odgrywają w zbliżeniu odbiorcy do twórcy różne formy upowszechnienia plastyki. Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie ma niemałe zasługi w tej dziedzinie. Jak wygląda współpraca ZPAP — BWA?

— Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie prowadzi aktywną działalność przyczyniającą się do upowszechnienia plastyki. Tak się jednak dotychczas składa, że w Rzeszowie i w innych miastach powiatowych nie ma zwyczaju dokonywania zakupów prac na wystawach przez władze terenowe i zakłady pracy. Chlubny wyjątek stanowi Dębica. Nie wiadomo też dlaczego twórców nie zawiadamia się o ich wystawach w terenie.

— Gdy mówimy o rzeźbie współczesnej, mamy na myśli wyjście z sal wystawowych i włączenie jej w plener. Rzeszów jest miastem pozbawionym rzeźby przestrzennej, co w tej sprawie mają do powiedzenia plastycy?

— O rzeźbie przestrzennej w Rzeszowie mówi się już od roku. Wyrazem tego są przygotowania placu pod ekspozycje pomiędzy dwiema synagogami. Na placu tym staną m. in. prace Mariana Koniecznego i Antoniego Hajdeckiego. Również aktualna jest sprawa przebudowy placu Zwycięstwa, a nawet mówi się o nowym Pomniku Wdzięczności. Bardzo dużo myślimy też o 40-hektarowym parku wypoczynku nad Wisłokiem, w którym powinny znaleźć się pewne ekspozycje plastyczne.

Kiedyś w Rzeszowie i w kraju głośno było o grupie czternastu. W sztuce istnieją kierunki łączące różne prawdy. Takie wspólne założenia artystyczne pozwalają plastykom doskonalić warsztat, rodzą twórcze dyskusje.

— Na pewno tak jest, ale istnieją u nas obiektywne trudności. Jest nas 47 plastyków w różnym wieku, z różnych szkół artystycznych. Nie sprzyja to zawiązywaniu grup twórczych. Na razie możemy mówić tylko o grupie „Jarosław", która ma za sobą 3 samodzielne wystawy.

— Kilka słów o akcjach społecznych.

— Chyba na największą uwagę zasługuje prowadzona od dłuższego czasu akcja „Galerie dla szkół Tysiąclecia", o której wiele już pisano. Również około 40 prac ofiarowywaliśmy różnym instytucjom i muzeom. Systematycznie organizujemy odczyty i spotkania autorskie.

Kończąc naszą rozmowę życzę Zarządowi Okręgowemu ZPAP w Rzeszowie w imieniu „Widnokręgu" owocnych zamierzeń.

Rozmawiał: E. GAJEWSKI

JERZY MAJEWSKI

— rysunek tuszem

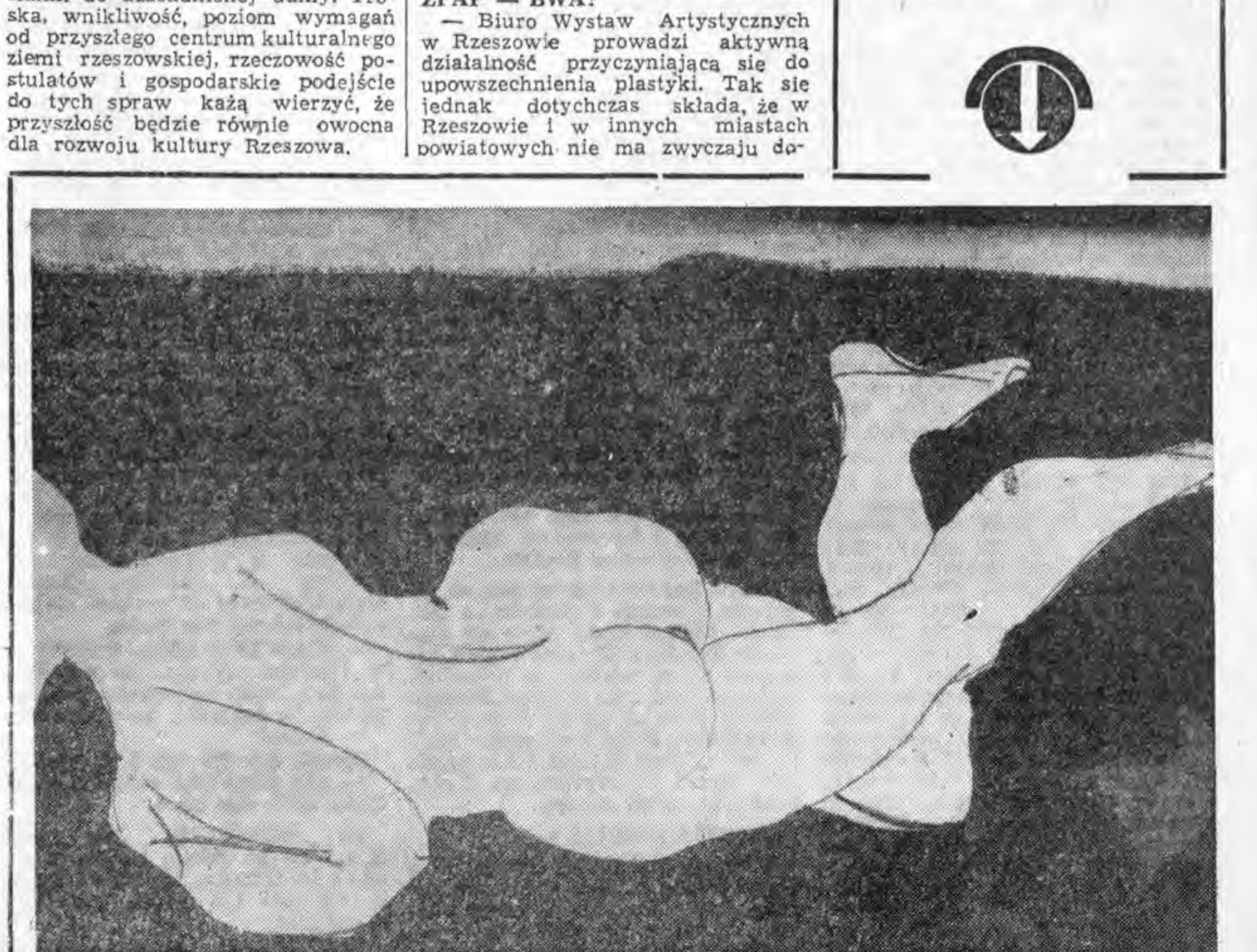

Zamrugało raniutko słoneczko, zagrzało przymilnie, po wiosennemu. A cisza była tego ranka — niezwyczajna! Swąd tylko ciężki z pogorzelisk i z ludzkiej śmierci włóczył się niskim dymem po berlińskim gruzowisku, zatykał nozdrza, łzawił zmęczone oczy i tłumił młode wiosenne zapachy. A mimo to, pachniała tego ranka wiosna naszym żołnierzom, oj pachniała!

„Niby bez, ale gdzie mu tam lichocie do naszego, kalinowskiego. U nas, gdy po wsi buchnął wiosną bez, to niech się każda perfuma schowa. A widok jaki, a kolory, a kiście jakie ogromne! A ten ci nieborak, to taki więcy miastowy, jak miastowy człowiek; niby na pierwszy widok i delikatniejszy, i elegantszy, ale mimo to nie taki, jak od nas, ze wsi. U nas w Kalinowej, to ci dopiero bez. Pewnie tam już kwitnie".

Tak sobie pomyślał st. szeregowiec Franek Czepiga przytulając, do rozpalonego czoła, do oczu piekących od dymu i niewyspania — gałązkę białego, rosistego bzu. Chłodna rosa koiła zmęczenie; zaswędziały mile zmęczone powieki, więc je mocno potarł palcami. Wąchał Franek bez i myślał sobie dalej:

„Sztuczna przecież ta miastowa ziemia, słońca mało, kamienice zasłaniają, pszczoła tu nie doleci, czysty wiatr nie zawieje — to i skąd zapach? Męczy się drzewo, nie dziwota, że takie cherlawe; jakby na suchoty zapadło".

I zrezygnował Czepiga z ułamania gałązki, bo mu się jej żal zrobiło. Zarzucił karabin na ramię, wybrał pod ścianą kamienicy miejsce dogodne i usiadł nadstawiając nieogoloną, zmęczoną twarz do umorusanego czarnym dymem słońca.

„I słoneczko tu jakieś, takie więcej niemrawe. Nie to co u nas".

Ale dobrze mu było, ciepło. Więc zamrużył Franek oczy, zamyślił się, zadumał...

Rok byli dopiero z Andą po ślubie. Pierwszy rok pracowali na swoim zagonie. Idzie sobie Franek raniutko za pługiem. Skiby kładą się ładnie, a lemiesz kroi je równo, z odblaskiem. „Wio, Gniady, wio! Wiśta, Gniady, wiśta malutki już niedługo śniadanie. Jeszcze jeden nawrót, wiśta Gniady, wiśta malutki". I trzask z bata, ale tak tylko, na wiwat, dla fantazji. Gniady wie o tym dobrze, bo się wcale tego gospodarzowego trzaśnięcia nie przeląkł, i tylko, też dla fantazji, ogonem poruszał. Idzie Franek Czepiga równiutką bruzdą, idzie za pługiem na bosaka, a chłodnawa ziemia ugina się przychylnie i stopę łaskocze. Kawki z tyłu gałgoczą, idą za nim krok w krok i polują na pędraki. Doorali do gruszki. „Prrr-y Gniady". Wywrócił Franek pług, wyprzągł Gniadego, wyjął mu wędzidło i zawiesił worek z obrokiem na szyi. Andy nie było widać. Więc usiadł Franek na miedzy, popatrzył z góry na zaciągniętą poranną niebieskawą mgiełką Kalinową. Patrzył jak mgła siadała na Strug, coraz niżej. Dobrze, że skoro świt wyjechał w pole, bo koło południa będzie gorąco, że hej! Na Pańskiej Stronie, za Strugiem, czerwieniał dach szkoły, od Tyczyna, po gościńcu jechał samochód ciągnąc za sobą długi ogon kłębiastego kurzu. „Ale kurzy. Będzie gorąc; deszczu by się już kapkę przydało". I popatrzył Franek na słońce, a potem rozścielił kapotę i ułożył się na niej wygodnie...

— Czepiga! Franek!

— Co jest?

— Gdzie ty jesteś, stary?

— Tu za ścianą.

Podleciał kapral Sygurski, z manierką.

— Coś się tak skrył? Napij się ze mną farmazonie. Czy ty brachu rozumiesz, że mamy to całe cholerstwo za sobą, że już się skończyło? Twoje zdrowie chłopie! Teraz już całkiem na serio można wypić za zdrowie. W twoje ręce.

Sygurski pociągnął solidnie, wzdrygnął się, otarł wargi ręką i podał manierkę Czepidze. Pociągnął Franek, ale ostrożnie, bo wiedział, że tu pije się tylko spirytus.

— No, to chodź Franek, pojedziemy z Rosjanami zobaczyć Brandenburską Bramę. Cała wiara tam wali. Czołgiem skoczymy, w try miga.

— E, tam.

— Co, e tam?

— Nie chce mi się. Nogi mnie bolą, ślepia szczypią od niewyspania. Posiedzę se tu chwilę, odpocznę.

— No, to jak chcesz, bo ja lece. „Zmyślny chłopak z tego Sygurskiego. A jaki zawzięty".

Wczoraj wieczorem podeszli z działem do tej kamienicy. Wokoło huk. Piekło. Trzeci dzień i trzecią noc bez przerwy walczył już 3 pułk w Berlinie. Jako pierwszy z pułków kościuszkowskiej dywizji wprowadzony został do walki nacierając zawzięcie od strony Charlottenburgerstrasse w stronę Tiergartenu. Wiedzieli żołnierze, że to ostatnie dni, niemal ostatnie godziny, a tu takie sakramenckie piekło, tyle krwi i tyle śmierci. Więc bili się z determinacją, jak szatany. Dom. Solidny, żelbetonowy na skrzyżowaniu. Ciemno. Z drugiej strony ulicy prażyły śmiercionośnymi świetlikami hitlerowski cekaem. Z tamtego kierunku szczekają moździerze.

— Chłopaki — krzyczy naraz kapral Sygurski do obsługi 76, a gdyby tak wciągnąć ją na piętro i z tamtąd, co?

— Nie da rady, schody za wąskie.

— Przysadzista cholera, za ciężka.

— A po kawałku?

Huknęło z moździerza, łomotnęło, rąbnęło kamieniami i szurnęło odłamkami. Jeknął Zygmunt Sękowski, celowniczy, złapał się za brzuch:

— Olaboga, ale mnie dostali.

— Skurwysyny!

— Rozbierać działo i na górę — ryknął Sygurski.

Sanitariuszka odciągnęła na bok lamentującego Sękowskiego. Obijali się boleśnie na ciemnych, wąskich schodach, klęli, męczyli się piekielnie, ale piorunem wtargali 76-kę na górę i ustawili ją w pokoju, na IIgim piętrze. Zmontowali, rąbnęli przez balkon: raz, raz, raz! Z lewego skrzydła wtórowały ciężkie radzieckie czołgi. Ucichł cekaem, przestały szczekać moździerze. Skokami, skradając się przy węgłach, kryjąc za gruzami poszła do przodu nasza piechota.

Na odcinku 3 pułku bój ustawał. Rozwidniało się. Przestali strzelać. W uszach jednostajnie dzwoniło. Czepiga z nienawiścią wpatrywał się w złowrogie, przeorane wojną miasto. Z piętra widać było daleko. I ta niezwyczajna cisza. To go trochę zaniepokoiło, więc mówi do Sygurskiego, który oparty o ścianę ćmił papierosa:

— Coś tam u nich za cicho, nie uważasz? Może szwaby znów co szykują?

— Cholera ich tam wie. Ciekawe, co tam z Sękowskim. Zejdę na dół, to się może co dowiem.

Rzucił Sygurski niedopałek, otrzepał się z wapna i poszedł na dół. Reszta obsługi spała, gdzie się który ułożył. Więc Czepiga znowu zapatrzył się w miasto. „A pomyśleć, że tak daleko było do tego Berlina. Aleśmy przecież doszli, chociaż nas to cholernie drogo kosztowało, aleśmy ich tu dopadli i już nie popuścimy". Przed wymarszem na Berlin Sękowski czytał ulotkę:

„Kościuszkowcy!

W ciągu dwóch lat wspólnie z przyjacielską Armią Czerwoną zadawaliśmy druzgocące ciosy wojskom hitlerowskim. Wasz szlak od Lenino, poprzez Pragę, Wał Pomorski, forsowanie Odry — szlak o łany chwałą zwycięstwa — dobiega końca.

Kościuszkowcy!

Idziecie, by szturmować leże faszystowskiego zwierza. Okazano Wam wielkie zaufanie. Wy — jako siły niezwyciężonego narodu — z dumą zatkniecie na gruzach Berlina biało-czerwony sztandar — symbol tego kraju, który nie zginął i nigdy nie zginie"*).

— Idziemy na Berlin!

— A co? Może się nam nie należy?

— Pewnie, że się należy! Już my im pokażemy!

— Za Warszawę im oddamy chłopaki, za moją Starówkę!

— Za całą Polskę!

W nocy z 29 na 30 kwietnia, znalazł się 3 pułk w Berlinie i odtąd bije się bez chwili przerwy, bez wytchnienia. A teraz ta cisza. „Biedny Sękowski".

Patrzy Czepiga, a tu nagle, zza tego domu, skąd jeszcze wczoraj prażył niemiecki cekaem i siekały moździerze — wylatuje T-34. Wylatuje T-34, a na nim pełno żołnierzy; krzyczą coś, wymachują czapkami, śpiewają, słychać nawet harmonię:

— „Kalinka, malinka maja..."

Patrzy Czepiga i ze zdumienia przeciera zmęczone oczy. Czołg staje, Rosjanie zeskakują, biegną im na spotkanie nasi żołnierze, ściskają się wszyscy, całują, czapki lecą do góry, rżnie harmoszka jak opętana, prują z automatów, na wiwat!

Teraz znów uświadomił sobie Franek co to oznacza: koniec wojny. A jednak doczekał się tej chwili!

Zerwał się Czepiga na równe nogi, zaczął budzić chłopaków:

— Wstawajcie chłopy, wstawajcie! Patrzcie co się dzieje: wojna się skończyła! Wstawać śpiochy.

Ale, gdzie tam, żaden ani myślał wstawać.

Klęli, mruczeli coś, ni w pięć ni w dziewięć, przewracali się na boki. Więc on już na nic nie czekał, tylko sturlał się po schodach na dół i wpadł prosto w objęcia potężnego gwardzisty:

— Koniec wojny sojuźnik. Koniec wojny, mat' jejo tuda siuda!

Ryknął tamten i nastawił ramiona.

—A niech ją najjaśniejszy ślag trafi — przytwierdził Czepiga.

Zwarli się w uścisku, aż żebra zatrzeszczały, ucałowali po trzykroć, po słowiańsku, po bratersku. Gwardzista nazywa się Bierioczkin i pochodzi spod Riazania. Zakurzyli gazetowe skręty i pokazują sobie fotografie. Czeka tam na Bierioczkina pod Riazaniem żonka i troje dzieciaków. I na Czepigę czeka Anda z synkami bliźniakami: Bolkiem i Józkiem. Czekają stęsknione baby na mężów, czekają i doczekać się nie mogą.

— Niech bliny pieką, w łaźni palą, łóżeczko szykują, bo mężulkowie lada dzień się pokażą. Oj, trzymajcie się żoneczki, no nie, brat?

— A jak!

Śmieje się Czepiga i dodaje:

— Jak człowieka zobaczą, to się chyba cała wieś zleci.

No pewnie że się zleci. A my na to: proszę bardzo. I zjemy, i wypijemy z sąsiadami, jak obyczaj każe i o wojnie opowiemy, o Berlinie.

...Siedzi sobie utrudzony bojem st. szeregowy Franek Czepiga pod ścianą rozwalonego berlińskiego domu, mruży oczy do zadymionego słońca i myśli o Kalinowej, o Andzie...

...A paliło to kalinowskie słoneczko, paliło. W brzuchu Frankowi burczało; spóźniała się Andzia ze śniadaniem. Zdrzemnął się trochę, bo raniutko wyszedł na pole. Anda podeszła cichutko, ostrożniutko. Odstawiła trojaki pod gruszkę. I nagle poczuł Franek jej zapach, usłyszał szept „Kochany ty mój, kochany". Nie otwierając oczu przygarnął żonę ramieniem. Przywaliła go młodym ciałem, przydusiła piersią bogatą i prężną, przywarła zachłannym, świeżym pocałunkiem. Przewalili się w bruzdę, zawirowała, zapachniała wiosną i namiętną miłością świeżo zorana ziemia.

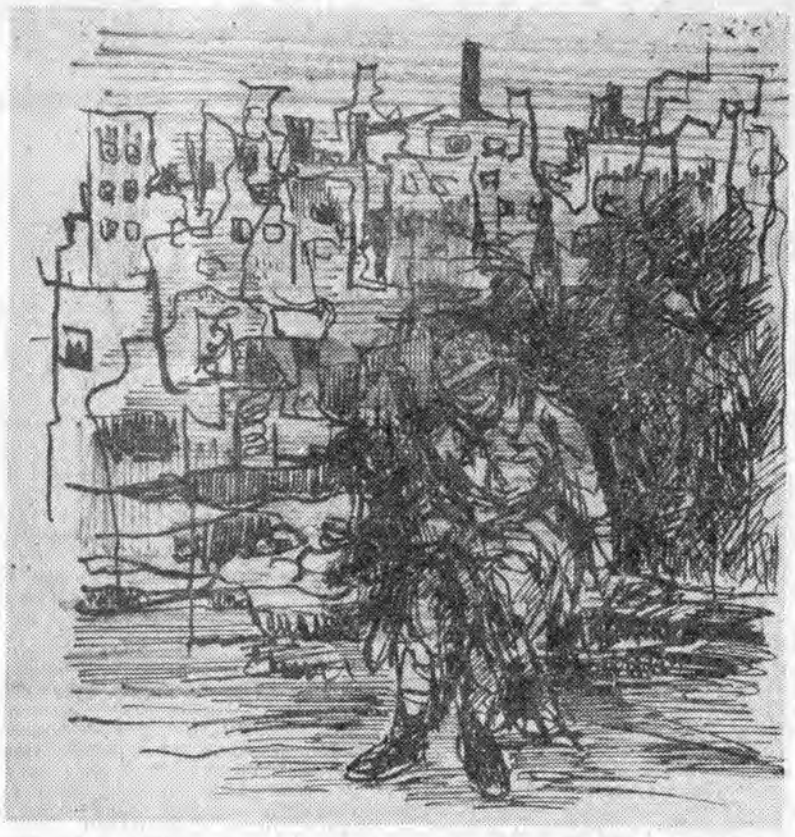

Rys. J. SIENKIEWICZ

— Czepiga, Czepiga! A to ci chłopa wzięło! Śpi jak suseł. Wstawaj stary, bo cię okradną!

Sygurski tarmosił Czepigę za ramię, bo ten spał smacznie, z głową opartą o kolana. Szarpnięty mocniej Franek otworzył oczy.

— Co jest? Zdrzemnęło mi się chyba trochę. Wy już z powrotem?

Ale Sygurski komenderował:

— Chłopaki, jazda za mną. Ściągamy z piętra naszą „starą" i zabieramy się stąd. Nie uważacie, że już czas do domu? Nie będziemy tu przecież zimować.

— Co racja, to racja.

Rozespany, zmęczony Czepiga podniósł się powoli, popatrzył na swoje poobijane, podrapane ręce i pomyślał sobie, że trudno będzie tę 76 ściągnąć z powrotem na zieziemię.

*) Fragment z autentycznej ulotki wydanej do Kościuszkowców w przeddzień szturmu Berlina.

O Towarzystwie upiększania miasta Przemyśla

Powstało w roku 1890. Towarzystwo o dziwne brzmiącej dziś nazwie zostało niejako wywołane zapotrzebowaniem społecznym miasta rozbudowującego się w szybkim tempie w połowie lat XIX wieku. Budowa twierdzy przemyskiej przez zaborcze władze austriackie, ścieśniała miasto do terenów wyłącznie miejskich, pozbawiając mieszkańców możności spacerów czy wycieczek w najbliższe nawet okolice.

Okoliczności te zmusiły władze miejskie do zainteresowania się wzgórzem.

Pierwsze starania miasta stworzenia parku sięgają lat 1840, później nieco wydzierżawiono za czynszem uznania nieużytki, o których wspominaliśmy i powoli przystosowywano to miejsce dla utworzenia miejsca spacerowego dla mieszkańców miasta. Z notatek prasowych tych czasów dowiadujemy się o kłopotach miasta i stanie tego parku miejskiego.

Gazeta Przemyska z 2. VII. 1891 r. podaje, że w roku 1890 „szczupłe grono czynnych ludzi widząc w związku z rozrostem miasta potrzeby — o których wspominaliśmy — zakłada Towarzystwo Upiększania Miasta, które miało w czynie społecznym uzupełnić zaniedbania władz miejskich i uczynić zadość potrzebom miasta.

Jeżeli powiemy, że w ciągu pierwszego tylko roku działalności, Towarzystwo zasadziło około 1600 drzew i wybudowało 1220 mb ścieżek i dróg, to zrozumiemy, że plany były szerokie i wykonywane. Trudno w krótkim artykule opisywać całą działalność Towarzystwa, o tym dowiemy się z szerszego rysu historycznego, który znajdzie się w najbliższym, bo już będącym w druku Roczniku TPN.

Towarzystwo w roku 1912, na zjeździe Towarzystw Upiększania Miast w Krakowie, jest inicjatorem wniosku w sprawie ochrony architektury miast. Szeroko komentowała prasa galicyjska ten właśnie punkt widzenia i inicjatywę delegatów z Przemyśla.

Dowodem potrzeby istnienia takiego Towarzystwa jest także fakt popierania go przez ówczesne kierunki postępowe, przez PPS.

Zamarłe w okresie okupacji hitlerowskiej, zostaje reaktywowane w roku 1957, opierając od razu swoją działalność na szerszej jak dotychczas bazie społecznej.

W krótkości powiemy, że Towarzystwo w latach 1957—1966, wydało z własnych drobnych składek ok. 600 tys. zł na takie cele jak: odnowienie istniejących pomników (50 tys. zł), dokumentacja wieży zegarowej (25 tys.), subwencja na wykopaliska (25 tys.), kiosk meteorologiczny (35 tys.), iglica reklamowa (25 tys.), zieleńce (50 tys.), afisze i reklamę (15 tys.), różne drobne subwencje (5 tys.), udział w akcjach ogólnomiejskich (20 tys.), remont i urządzenie lokalu (40 tys.), publikacje (50 tys.), prowadzenie archiwum prasowego i zbiory fotograficzne stale uzupełniane (20 tys.) — oto tylko najważniejsze z wydatków.

W tej chwili obserwujemy w Towarzystwie jakąś stagnację, odpadło szereg członków zwłaszcza tych zbiorowych. Zapewne, że obciążenia z tytułu rozmaitych składek i akcji istnieją, ale istnieje także fakt że w spożyciu alkoholu mieszkańcy Przemyśla nie zajmują ostatniego miejsca. 1-złotowa więc składka nie stanowiłaby dla nikogo różnicy.

Przemyśl stać na to, aby TUM liczyło 10 tys. członków, co przy 1-złotowej składce pozwoli na „upiększenie miasta".

Opracowanie:
ZYGMUNT FELCZYŃSKI

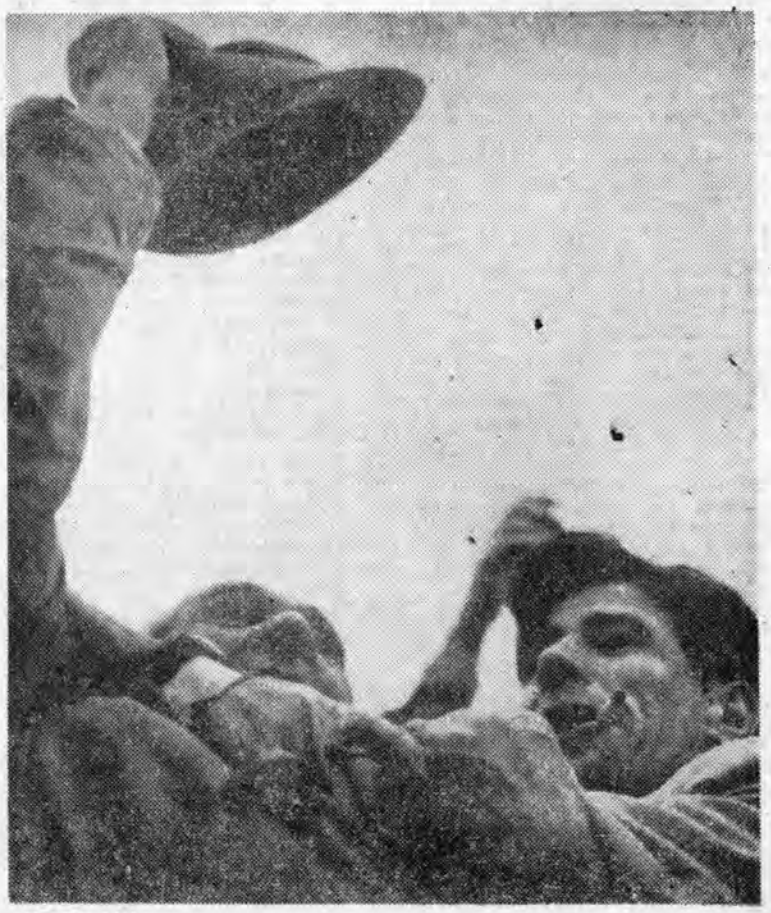

GOOLA!!!

Fot. J. LIGĘZA

Krystyna Świerczewska

Nasz felieton

WSTĘP DO DYPLOMACJI

Pisał przed laty Stendhal, że umiejętność zjedzenia jajka na miękko zadecydować może o przyszłej karierze duchownej jego bohatera. Umiejętność szybkiego spuszczania oczu, umiejętność sprytnego wstawiania w rozmowę z osobą wyższą od ciebie w hierarchii stanowisk: peccavi, pater optime, umiejętność w dozowaniu własnej mądrości przed zbiorowością, umiejętność przemilczeń, umiejętność pochlebstw, słowem — stosowanie szeregu umiejętności podszytych fałszem i wymagających zręczności dyplomaty.

Stendhal był przewrotnym pisarzem i oburzała się nań epoka. Skazała go na nieczytanie; tej ilości prawd oraz szyderstwa znieść przecie nie mogła!

Julian Sorel z rad nie skorzystał: dobrze zjeść jajka się nie nauczył nigdy, kiełbasek z kapustą nie cierpiał, bystrości umysłu powstrzymać nie potrafił i dzięki tej jego pogardzie dla dyplomacji dostaliśmy jedną z najbardziej wstrząsających w literaturze śmierci romantycznych, kiedy to Matylda de la Mole, nocą, w karecie, uwozi na swoich kolanach piękną głowę buntownika...

Wielka literatura jest ponad czasem.

Wielkie przywary także.

* * *

Któż z nas, raz bodaj, nie próbował zjeść jajka na miękko, podpatrując wrony, wśród których się znalazł? Któż z nas nie zna tego stanu samouwielbienia, kiedy rzecz się udała, rozpływającego się z czasem w pogardzie dla siebie? Ilu z nas jednak zrobiło to tylko raz; u ilu — rzecz w nawyk przeszła?

* * *

Istnieje trochę słów bardzo ludzkich: dziękuję, przepraszam, dzień dobry — rzucanych mimochodem i umilających życie. Z tymi ludzkimi słowami czyni się tak nieludzkie praktyki, że przestają być pojęciem miłego zadośćuczynienia formom współżycia, przechodząc we wstęp do dyplomacji, w obrzydliwą grę ambicji, w śmieszne wyrównywanie porachunków. Ekspedientki nie mówią dziękuję, bo klient przeszkadza im w próżnowaniu; baba z koszem rozrywająca nim pończochę nie powie przepraszam, bo cierpi na kompleks kosza i cienkiej pończochy; dzień dobry na ogół się mówi zawsze, ale odcienie tego słowa i towarzyszące mu gesty czy miny, tworzą cały kodeks dyplomatycznego savoir vivre'u. Gdyby rzecz nie nosiła znamion towarzyskiego zwyrodnienia, byłaby co najmniej pasjonująca...

* * *

W hierachii zależności dwa ukłony mają się tak do siebie, jak lekceważenie i pochlebstwo. Jeden — ledwie że zauważalny; drugi — w pół zgięty, zaprawiony chęcią odwetu.

W hierarchii przez bieg karier odwróconej — owo w pół zgięte dzień dobry zadziwiająco szybko się prostuje: jest wtedy cedzone, zimne, zmusza odkłaniającego do błyskawicznych rachunków sumienia, do pokory za lata zwycięstw.

Postronny obserwator widzi dwóch przeciwników, którzy niby bokserzy na ringu szykują się do pozdrowień, do życzeń, żeby dzień był dobry... I nic to, że bieg karier notuje się linką krzywą, że najtrudniej tu o wartości trwałe: czekać, by dzień dobry zabrzmiało jednak kiedyś jak życzenie — znaczy czekać na ring opróżniony na obustronny nokaut...

* * *

Dzień dobry uśmiechnięte może być nie tylko pochlebstwem: może być podzięką za załatwioną sprawę, za nadzieje na załatwioną sprawę, za mądre przewidywanie, że kiedyś jednak może załatwi się jakąś sprawę, że lepiej być w porządku, bo nigdy nic nie wiadomo.

* * *

Wśród grona znajomych, trzeba przyznać — sporego wszak grona, znajduje się niewielki wzrostem człowieczek na takim sobie stanowisku. Cóż to za polityk uśmiechów na dzień dobry! Raz zamiata kapeluszem ulicę, raz zdejmuje go tyle co trza, raz uchyla ino, ino, raz coś tam mamrocze, tak przemyślnie sięgając do nakrycia przewidującej głowiny, że nigdy w porę nie zdąży jej odsłonić; raz wreszcie przemyka chyżo niczym leśne zwierzątko pod murami i nie zauważa, po prostu, nie zauważa. Zawsze jednak tych, którzy niewiele mogą, którzy z hierarchii wypadli.

* * *

Są i tacy, którzy trzy razy nie zauważają, a za czwartym z wielkim zakłopotaniem życzą nareszcie dobrego dnia. Wystarczy wtedy nie odpowiedzieć zupełnie jawnie — następnym razem wpakują się w oczy, z lekka przestraszeni, że rzecz może mieć reperkusje, których lepiej uniknąć i krzyczą swoje dzień dobry z takim ładunkiem entuzjazmu, że postronny obserwator ma cię co najmniej za najgorzej wychowanego człowieka, jeśli nie odpowiesz i teraz.

* * *

Są jeszcze tacy, co raz się obrażają, bo ktoś im szepnął, że nic nie wart i dopiero jak inny zrobi z ciebie geniusza — do ukłonu powracają;

są wielcy, którzy kłaniają się tylko równie wielkim i nagle, mając do ciebie sprawę, niespodziewanym ukłonem uwiadamiają cię o niej;

są roztargnieni, którzy mają zwyczaj zauważania tylko zwierzchników;

są artyści — kaprysy sztuki zamykający właśnie w zwykłym życzeniu pogodnego dnia;

są znajomi z prehistorii, którzy cię przestali pamiętać, i nie bardzo wiedzą jak skończyć znajomość, bo wszak to tak kłopotliwe pozdrowić drugiego człowieka;

są natręci, którzy uparcie usiłują przełamać bariery niechęci i mówią swoje dzień dobry na przekór pogodzie dnia, zaczynanego w tym wypadku od niepożądanego spotkania.

Na szczęście są jeszcze i ci (miejmy nadzieję zresztą, że tych najwięcej), którzy wyrównują swoją bezinteresowną sympatią do ciebie falę ukłonów „przewidywaczy", zaśmiecających dyplomacją swoich przewidywań ludzką zbiorowość.

* * *

Nie umieramy dziś tak łatwo, jak to się działo w epoce sorelów. Równie łatwo jednak popadamy w konflikt z otoczeniem, kiedy nie lubimy kiełbasek z kapustą, a lubią je inni, kiedy nie milczymy, a sytuacja milczenia wymaga, kiedy nie chcemy mieć świętego spokoju, nie chcemy przed bliźnim się przyznać do win nie popełnionych, kiedy ukłonu nie zmieniamy w rytuał dyplomatyczny. Umiera w nas jednak poczucie wiary w pogodne współistnienie, kiedy naburmuszona figura mruczy lekceważąco swoje dzień dobry, zmuszając nas w pogodny ranek do zamyśleń nad ponurym prostactwem, z którego czyni się świoście pojętą zabawę w dyplomację.

Mieliśmy jeden unikalny reportaż filmowy z Wietnamu „Pan pułkownik ma nadzieję" dwojga wysłanników DTV — Sujeckiego i Szczepańskiego i jedną wstrząsającą rozmowę, którą w nim przeprowadzili autorzy z amerykańskim pułkownikiem, zestrzelonym gdzieś w okolicach Hanoi. Dowodził i bombardował. Powstało z tego ponuregoo doświadczenia osobliwe wyznanie, że w wojnie zawsze giną niewinni, że zawsze kobiety i dzieci, że zawsze to klęska dla ludności cywilnej. I kiedy jego spokojne słowa nakładały się na obraz szpitala i poparzonej stopki niemowlęcia, przychodziła na pamięć straszna w swej prostej prawdzie formuła Nałkowskiej z „Medalionów", że „ludzie ludziom zgotowali ten los". U polskiej pisarki ewokowały ją obrazy elbląskiej fabryki mydła z ludzkich kości oraz gazu, któremu dano nazwę niszczycielskiego huraganu — cyklonu i w Wietnamie — poparzona napalmem ludzka skóra i przeszło 20 lat, które nas dzielą od polskiego doświadczenia, które są znowu losem zgotowanym ludziom przez ludzi i muszą rodzić protest uniwersalny. I mdli nas, gdy pan pułkownik ma humanitarną nadzieję, że udało mu się zamordować mniej niż innym lotnikom wietnamskich kobiet i dzieci. Mdli z obrzydzenia, że ludzkie słowo bywa tak nieadekwatne w odniesieniu do celów, które próbuje zdefiniować.

Drugi reportaż przygotowali nam Jerzy Porębski i Damazy Kwiatkowski; nosił skromny tytuł „Leżajsk" i był tym, który przed kilku tygodniami tyle krwi napsuł piszącej te słowa, dlatego że po prostu musiał widać nabrać mocy przez odleżenie. Spóźniony więc, pojawił się ku powszechnemu zaciekawieniu rzeszowian w formie opisu osiągnięć starego miasteczka, obudzonego przed 11 laty do życia werdyktem, iż zmienia się je w powiat. Leżajsk jest uroczy, ma 570 lat (co z mozołem obliczyłam odejmując od daty dnia dzisiejszego Jagiellowe zarządzenie o nadaniu praw miejskich), ma ponad 6 tysięcy mieszkańców — z czego jedna trzecia to bardzo fotogeniczna młodzież i mini-młodzież, ma przemysł, który zatrudnia jedną piątą część mieszkańców, zakłady sylikatowe, które co sekundę dają jedną cegłę, ma wielki klasztor przed dwoma wiekami ufundowany przez Opalińskiego ku pokrzepieniu serc mieszkańców upadającego już wówczas grodu, a w nim najgłośniejsze, po oliwskich, organy i jednego Van Dycka (organy usłyszeliśmy w sekwencji otwierającej reportaż malowniczą panoramą miasta — Van Dycka nie pokazano, a szkoda...).

Materiał do reportażu przygotował Jerzy Porębski, zdjęć dokonał Damazy Kwiatkowski. O materiale powiem, że był rzetelny i obfity oraz nastawiony wyłącznie na prezentację Leżajska krajowi — czyli był czymś z pogranicza informacji i monografii o mieście; o zdjęciach — że miały fragmenty rzadkiej urody, jak choćby ten z sągami drzewa i ludźmi, który znakomicie mógł znaleźć się w najlepszym filmie, że czyhały na malowniczość zakątków, na fotogeniczną młodzież, słowem — na sielskie uroki małych miasteczek.

W sumie — dostaliśmy rzecz sympatyczną, która była wizytówką Leżajska rzuconą przed oczy ogólnopolskich telewidzów; wizytówką pozbawioną jednak pazura publicystycznego, co w cyklu: „Ludzi i zdarzeń", które tym razem „Leżajsk" ozdobił, zdarza się na ogół nieczęsto.

Z przyjemnością także spieszę donieść, że właśnie solińska budowa zapoczątkowała w Dzienniku cykl króciutkich reportaży o największych osiągnięciach Polski Ludowej, przygotowywany z myślą o święcie lipcowym. Jaki to wdzięczny dla realizatorów temat i jakie pasjonujące sprawy, przy tym jaka szkoda, że z konieczności tak ich skąpo i tak o nich powierzchownie — myślę, ze zgodnie wszyscyśmy zauważyli. Myślę także, że przydałoby się wreszcie tę naszą Solinę wraz z wielkim uroczyskiem — Bieszczadami, zaprezentować o wiele szerzej i dogłębniej. Właśnie teraz, kiedy 23-lecie lipcowe, kiedy parę miesięcy dzieli nas od zakończenia budowy, kiedy soliński mistrz stolarski rozgląda się, gdzieby tu osiąść przy następnej zaporze, kiedy pętle bieszczadzkie ściągają turystów, kiedy współczesność zaprzecza naszym pierwszym wyobrażeniom o tym kącie kraju, że romantyczny, że dzikie w nim ostępy, niedostępne szlaki, polscy kowboje i dzieła sztuki ludowej w przydrożnych kapliczkach i cerkwiach. Może tam jeszcze co z tego dałoby się uratować w filmie telewizyjnym, bo ino, ino — a ruszą zorganizowani wczasowicze w Solinę i romantyzm z kretesem przepadnie. A wszak nam Polakom zawsze go było przymało, zawsze nas miał czym urzekać.

Co i napisawszy, lecę oglądać „Alcatraz express" — odcinek drugi, bo dalej gorąco...

KRYSTYNA

Przed V Konkursem Skrzypcowym

KTO BĘDZIE BRAŁ PIERWSZE NAGRODY...

Luis Spohr, Karol Lipiński, Józef Mayseder, Bernard Molique, Charles de Beroit, Ole Bull, Heinrich W. Ernst i Henri Vieuxtemps oto nazwiska skrzypków, którzy wolą wielkiego Niccolo Paganini, po śmierci artysty zostali właścicielami wspaniałych starowłoskich skrzypiec, ośmiu instrumentów, na których mistrz swą grą oczarował ówczesny świat, zdobył przydomek „uczeń szatana".

Wśród tej ósemki jest Polak Karol Lipiński. O nim to Paganini w czasie wielkiego przyjęcia w Paryżu powiedział: „Największy skrzypek świata? pierwszego nie znam, ale drugim jest Karol Lipiński".

Wszystko to się działo, gdy na firmamencie artystycznego Paryża nie jaśniała jeszcze nowa gwiazda wiolinistyki — Henryk Wieniawski. Następca Paganiniego miał dopiero wówczas 5 lat, i nikt nie przypuszczał, że za lat trzy znowu nazwisko Polaka będzie na ustach Europy, a jego sława przez długie lata przyćmiewać będzie innych wirtuozów.

„Kto będzie brał pierwsze nagrody w Konserwatorium Paryskim, jeżeli nie będzie Polaków" — martwiono się w 1853 r., kiedy to trzecie z kolei „cudowne dziecko" rodem z Polski brało wielką nagrodę tej uczelni w klasie skrzypiec. Tym z kolei naszym rodakiem, chociaż dziś zapomnianym, był 13-letni Izydor Lotto. Pedagodzy Konserwatorium Paryskiego niepotrzebnie martwili się, bo pewnego dnia Lotto przedstawił im swego ucznia — Bronisława Hubermana. I ten chłopiec porwał wytrawnych profesorów swą sztuką, zmusił do przyjęcia go wbrew statutowi do czołowej placówki muzycznej Europy, jaką było Konserwatorium w Paryżu.

Nie dziwmy się więc, że Konkursy im. Henryka Wieniawskiego cieszą się prawdziwie międzynarodową sławą. Przecież od 100 lat z górą nazwiska polskich skrzypków znajdują się w czołówce światowej. Tę tradycję utrzymuje dziś Wanda Wiłkomirska i nadal podkreślający swe polskie pochodzenie, wielki popularyzator muzyki polskiej w ogóle, mieszkający od lat w Meksyku — Henryk Szeryng. Niedawno ogłoszono narodziny nowej polskiej gwiazdy w dziedzinie wiolinistyki. Konstanty Kulka z Gdańska zbiera już najwyższe hołdy, jakimi mogą obdarzyć słuchacze wirtuoza.

Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego przygotowywany jest z wielkim pietyzmem dla muzyki i sztuki. Chociaż do rozpoczęcia pierwszych eliminacji (Konkurs jest dwustopniowy) jeszcze trzy miesiące, Filharmonia Poznańska przyjmuje już dziś zamówienia na bilety i abonamenty indywidualne i zbiorowe.

V konkurs odbywać się będzie w dniach od 4 do 19 listopada br. Towarzyszyć mu będą liczne imprezy muzyczne. Ich charakter nabierze barw tym piękniejszych, bo na ten okres przypada również 20-lecie pracy Państwowej Filharmonii w Poznaniu. Na koncercie jubileuszowym, a zarazem inaugurującym V Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy m. in. wykonane zostaną „Wierchy" imiennika rzeszowskiej Filharmonii — Artura Malawskiego. Koncert ten uświetni prawdopodobnie swym występem Konstanty Kulka. Na koncercie między pierwszym a drugim etapem Konkursu grać będzie Henryk Szeryng, który już wyraził zgodę na wzięcie udziału w jury, na czele którego stoi nasza znakomita kompozytorka i skrzypaczka prof. Grażyna Bacewicz.

Do udziału w Konkursie przygotowuje się 11-osobowa grupa reprezentantów Polski. Została ona wyłoniona w czasie specjalnych przesłuchiwań publicznych, które odbyły się w kwietniu br. na estradzie Filharmonii Narodowej w Warszawie. Jej cechą charakterystyczną jest młodość. Przeciętny wiek — 21 lat! Najstarszy uczestnik grupy polskiej ma 24 lata, a najmłodszy nie ukończył siedemnastu. Jest nim Piotr Czesław Janowski — uczeń prof. Ireny Dubiskiej. Kandydaci — co równie ważne — reprezentują wszystkie ośrodki wyższego szkolnictwa muzycznego kraju. Jednak ostateczny skład ekipy polskiej wyłonią kolejne przesłuchania, w których obok stypendystów Ministerstwa Kultury i Sztuki będą mogli wziąć udział młodzi skrzypkowie nieobjęci stypendiami. Eliminacje odbędą się z początkiem września w Poznaniu.

GAMA

Film Rossifa o Rewolucji Październikowej

Frédéric Rossif ukończył prace nad filmem „Rewolucja Październikowa". Na konferencji prasowej reżyser powiedział: „Przebywałem w ciągu dwu miesięcy w Związku Radzieckim i przywiozłem stamtąd 15 tys. metrów taśmy. Film, który trwać będzie 105 min., zaczyna się w 1905 roku, a kończy się w dniu śmierci Lenina. Nakręcałem zdjęcia na Syberii, w Moskwie, Leningradzie, Zagorsku i wielu innych miejscach. Będzie to film nie tylko o Rewolucji, ale również o Rosji".

KSIĄŻKI KSIĄŻKI KSIĄŻKI

Zbigniew Domino: PRAGNIENIA. MON, s. 222, cena 10 zł.

Debiut książkowy. Jego autor pisze o sobie: ...„urodziłem się pod rzeszowską strzechą, stamtąd pochodziła moja matka i do tamtych stron — gdziekolwiek by mnie losy nie rzuciły — nieodmiennie tęsknię...". Akcja tych opowiadań rozgrywa się na Rzeszowszczyźnie w pierwszych latach po wojnie, a tłem jest walka z bandami UPA, NSZ, WiN. Niewiele w nich fikcji. Ciekawe.

Jerzy Ambroziewicz: PLEBANIE NA WULKANACH. Iskry, s. 328, cena 13 zł.

Znany czytelnikom z wydanej wspólnie z A. Rowińskim książki „Błędy i wybaczenia", osnutej na tle wydarzeń w Tarnobrzegu. W pozycji omawianej podejmuje autor w trzech reportażowych opowiadaniach („Nikt nie jest diabłem w Kamionce, Nikt nie jest diabłem w Gądkowie, Nikt nie jest diabłem w Wierzbicy") wspólny temat: plebania, diecezja, wieś, księża i społeczeństwo. O sprawach, które rozgrywają się w cieniu dzwonnicy.

Jan Brzechwa: MIEJSCE DLA KPIARZA. Iskry, s. 214, cena 25 zł.

Z pierwszą rocznicą śmierci zbiegło się wydanie utworów satyrycznych (wierszowanych i prozatorskich) jednego z najpopularniejszych autorów dla dorosłych i dla dzieci. „Miejsce dla kpiarza" jest wyborem dla dorosłych.

Bogdan Rutha: W HISZPANII O ŚWICIE. PIW, s. 258, cena 15 zł.

Jako osiemnastoletni chłopiec bierze Rutha udział w walkach w Hiszpanii przerzucając przez granicę ochotników i ewakuując rannych republikanów. Powieść niniejsza jest reminiscencją z tego okresu życia autora.

Marian Brandys: NIEZNANY KSIĄŻĘ PONIATOWSKI. Iskry, s. 156, cena 8 zł.

Wznowienie ciekawej powieści biograficznej, której bohaterem jest drugi (obok Józefa) starszy bratanek króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, książę Stanisław Poniatowski. Mało to znana postać, ale jakże ciekawa.

Nakładem Wydawnictwa Lubelskiego ukazały się tomiki wierszy poetów mieszkających na terenie naszego województwa:

Józef Janowski: CZAS I BARWY, s. 31, cena 8 zł.

Czesław Kondraciuk: KOJARZENIE SNU, s. 31, cena 8 zł.

Barbara Tondos: SKRAWKI ZGRZEBNE, s. 33, cena 8 zł.

Grzegorz Jaszuński: PIĘĆDZIESIĄT LAT RADZIECKIEJ POLITYKI ZAGRANICZNEJ. KiW, s. 125, cena 5 zł.

Znany dziennikarz i komentator telewizyjny w rocznicę Wielkiego Października daje do rąk czytelnikowi ciekawą pozycję omawiającą temat podany w tytule. Autor wysuwa tezę, że tak na dobrą sprawę polityka zagraniczna ZSRR jest od półwiecza niezmienna, bo jej głównym celem jest obrona pokoju i szukanie dróg współistnienia. Zmieniły się jednak warunki gospodarcze i polityczne w Związku Radzieckim i na świecie, a więc i formy polityki...

Mieczysław Maneli: SZTUKA POLITYKI. Iskry, s. 393, cena 14 zł.

„... czy można umknąć od polityki? Czy można odgrodzić się od spraw publicznych? Czy można mieszkać w „chacie z kraja" i czy w ogóle gdziekolwiek taka chata istnieje?". Co to jest polityka, jakie są jej metody i cele w przekroju historycznym, rola polityki w świetle nauki leninowskiej — oto główne zagadnienia książki.

PIEŚŃ PAŹDZIERNIKA. **Wieczory literackie na 50-lecie Rewolucji Październikowej.** Oprac. R. Hanin i A. Piotrowski. Iskry, s. 95, cena 6 zł.

Uwagi inscenizacyjne i repertuar rocznicowy. Może jeszcze będzie na półkach, bo jest bardzo potrzebna ta publikacja.

Marek Ruszczyc: PIERWSZY PREZYDENT. KiW, s. 318, cena 10 zł.

W serii „Światowida" sylwetka pierwszego prezydenta Polski po I wojnie światowej Gabriela Narutowicza, oczywiście pokazana na tle epoki i ludzi.

Iwan Sielezniew: WOJNA A WALKA IDEOLOGICZNA. Tłum. R. Leciński, MON, s. 246, cena 20 zł. Biblioteka Wiedzy Wojskowej.

Autor zajmuje się rolą walki ideologicznej w wojnie współczesnej, oddziaływaniem ideologicznym na stan moralny przeciwnika, wykorzystaniem psychologii społecznej i indywidualnej w propagandzie ideologicznej.

Józef Margules: BOJE I ARMII WP W OBSZARZE WARSZAWY (sierpień — wrzesień 1944). Seria: Wojna Wyzwoleńcza Narodu Polskiego.

Liczne mapy i ilustracje. s. 574, cena 75 zł.

M. Kurek, S. Zaliwski: WIADOMOŚCI Z OGRODNICTWA. PWRiL. s. 468, cena 40 zł.

Dwa główne działy to sadownictwo i warzywnictwo. Podręcznik dla techników rolniczych.

M. Szczygłowa, F. Starzyńska: ZDROWE ŻYWIENIE — ZDROWA RODZINA. PZWL. s. 188, cena 8 zł.

Są to rady i wskazówki dla kobiet prowadzących gospodarstwo domowe w warunkach wiejskich.

Na naszym ekranie

Kształt tęsknoty

...i jak mam to panu powiedzieć? Nie miałam wtedy jeszcze 20 lat. A młodość niezdolna jest do wyobraźni aż tak okrutnej. Po prostu, wyszłam na chwilę z domu, aby...

Rozmowa rwie się, potyka o strzępy wspomnień, epizody, z których jakże trudno złożyć po latach całość zwartą i zrozumiałą dla tych, którzy ją będą poznawać z relacji. Już wiem, jak wyglądał ten dom, w ogrodzie, do którego chciała wrócić Ryszarda Hanin, a raczej — fizylierka Rysia z batalionu kobiecego im. E. Plater Dywizji Kościuszkowskiej, następnie — członek zespołu frontowego teatru, wcześniej — spikerka polskiej rozgłośni radia Kujbyszew i Saratow, a jeszcze wcześniej — studentka polonistyki, uciekinierka Września. Dom, którego nie odnalazła nigdy. Wiem, jak zwyczajnie i prosto wyobrażono sobie ten p o w r ó t tam, w sieleckim obozie, kiedy piosenka o płynącej Oce „jak Wisła szerokiej i jak Wisła głębokiej" była najpierw serdecznym szlagierem zanim stała się hymnem Dywizji. Wiem, o czym mówiono w żołnierskiej kantynie, gdy bezrobotny górnik z Zagłębia, ksiądz z Włocławka, fornal spod Łańcuta czy student — poeta z Warszawy zasiadali do stołu z lotnikiem Kaszubem, który właśnie wrócił z polskiego nieba, gdzie zrzucał broń i ludzi, i jaki wyraz miały ich oczy, kiedy pytali go: „Byłeś tam?..." I wiem, jak różna była treść, choć jeden i ten sam sens tęsknoty, której tylko w uroczystych chwilach nadawano imię „ojczyzny".

— Długo, bardzo długo dojrzewa człowiek zanim...

Znów pauza. Aktorka sięga po tomik wierszy.

...proszę posłuchać. Tak było. Naprawdę tak było: „Idzie, idzie to bractwo, pozbierane tułactwo, tylko broń w słońcu z dala się iskrzy. Idzie więzień z Berezy, były glina i hrabia chorąży. Idzie cieśla spod Omska, idzie ślusarz z Radomska, hełm bojowy jednako im ciąży. Idą chłopy i pany, idą razem zbratane. Idą z lagrów, z posiółków, z zesłania. Idą śląskie pieruny, osiwiałe leguny, wspólnej drogi już nic nie przesłania...".

I znów pauza. I zmarszczka na czole. Widać, nie wszystko było tak proste jak w wierszu. Ani tak jasne, jak ta broń iskrząca w słońcu. Przynajmniej — nie dla wszystkich. I nie od razu.

— Było coś „przedtem" i było coś „potem". Zrozumiałam to dopiero w Lublinie...

Bo to nieprawda, że wszystko zaczęło się dopiero tam, nad Oką. Zanim węszyli na t ę drogę, upragnioną drogę zwycięskiego powrotu, były wpierw i n n e drogi, gorzkie i dalekie. Drogi odejścia i odwrotu, rozpoczęte w obliczu klęski, przebyte w pojedynkę i w rozproszeniu, z którego dopiero miała narodzić się prawdziwa j e d n o ś ć. I nowy kształt tęsknoty, który nazywano: ojczyzną.

— Każde z nas niosło własny bagaż doświadczeń — lęków, wspomnień, rozterek i nadziei. I własny garb. Ale wiedzieliśmy jedno, m u s i m y wrócić. Wracaliśmy i n n i. Zrozumiałam to dopiero w Lublinie...

„Był w ojczyźnie rachunek krzywd..." — w tej ocenie zgodni byli wszyscy. Ci z rozbitych oddziałów wrześniowych, i ci, dla których zabrakło wtedy broni. Więźniowie sanacyjnych więzień, naukowcy, robotnicy, fornale — obywatele „sezonowego państwa" i niepokonanego narodu, bieżeńcy, cywile, z których tworzono wojsko.

— Można by o tym dzień i noc. I dłużej. I zawsze jeszcze pozostałoby coś do powiedzenia. Myślę, że nikt z nas nie umiał sobie tego wówczas wyobrazić. Ani tego, że ziemia, którą odbieraliśmy wrogowi, jest już inna od tej, którą opuszczaliśmy wrześniem 39 roku. Że na niej działy się także rzeczy, o których nie mieliśmy pojęcia.

Dla Ryszardy Hanin moment konfrontacji — rozmiaru i ogromu tragedii, która była udziałem „tej ziemi" — nastał w czasie pierwszego spektaklu w wyzwolonym Lublinie. Jeszcze dymił Majdanek, jeszcze nie zaschła krew na murach lubelskiego zamku, gdzie rozsiekano ostatnich zakładników, kiedy z desek estrady...

—Milczeli. Pierwszy raz tak przyjmowała nas sala. Ani śmiech, ani łzy, do których przywykliśmy w naszych frontowych spektaklach, tym razem nie miały miejsca. W pewnym momencie, ze sceny padły słowa wersetu recytowanego wiersza: „...alle rrr-rraus...". Na sali powstała panika. Musieliśmy opuścić kurtynę. Na podium wyszedł Władek (Krasnowiecki) i zaczął: „Ludzie, nie bójcie się. Niemcy odeszli naprawdę i nigdy już tu nie wrócą...".

Każdy inaczej. Dramat dróg powrotu nie ustępował dramatowi dróg odejścia. Każdy z nich, powracających, zaczynał rozumieć, że to, za czym tęsknił i co na wszystkich drogach tułaczki było mu „gwiazdą przewodnią" — jest i n n e niż obraz, jaki stworzył sobie we własnej wyobraźni. Dom, który opuścił, nie był już tym domem (jeśli nawet istniał) i ludzie, z którymi się rozstał, choć ci sami, byli już inni. On sam także, nie wiedząc i nie zdając sobie z tego sprawy, wracał inny niż był.

— Wtedy zrozumiałam, że aby zachować wszystko, co najdroższe dla serca, trzeba iść dalej. I że znaczenie tęsknoty za słowem „ojczyzna" ma wieloraki sens. Dopiero wtedy zrozumiałam to naprawdę...

STEFAN HENEL

Mgr inż. architekt JÓZEF KUŹNIAR.

Rys. J. SIENKIEWICZ

W. Hugo — zazdrośnik z temperamentem

W jednym z listów Wiktora Hugo z czasów jego młodości, pisanym do narzeczonej spotykamy taki passus: „...byłbym Ci niezmiernie wdzięczny, Najdroższa, gdybyś nieco mniej troszczyła się, żeby nie zabrudzić sukni, gdy idziesz ulicą. Wydaje mi się bowiem, że wstydliwość jest czymś o wiele kosztowniejszym niż suknia, choć wiele kobiet nie podziela tego zdania". W tym samym liście Hugo kończy swe obyczajowo-moralizatorskie rozważania deklaracją:

— „Gotów jestem spoliczkować każdego bezwstydnika, który odważyłby się spojrzeć na Twe nogi!".

Wyobraźmy sobie wielkiego Wiktora z ukochaną na plaży w Sopocie, Ustce, czy Międzyzdrojach...

POLONICA KULTURALNE

O TEATRZE GROTOWSKIEGO I KSIĄŻCE IRENY SCHILLER

MOSKWA

Miesięcznik radziecki „Teatr" zamieścił artykuł pióra A. Anastasiewa, poświęcony wrocławskiemu teatrowi „13 rzędów", którego kierownikiem jest Jerzy Grotowski. Autor podkreśla olbrzymie wrażenie, jakie wywarły na nim spektakle oglądane w tym teatrze, m. in. „Księcia Niezłomnego" Calderona-Słowackiego.

Teatr „13 rzędów" — pisze recenzent — jest rzeczywiście laboratorium, gdzie odbywają się eksperymenty mogące wzbogacić współczesną kulturę teatralną".

„Wydaje mi się, że artystów naszych scen zainteresowałyby doświadczenia Grotowskiego. Teatr „13 rzędów" był już w Szwecji, we Francji. Czemu nie miałby przyjechać do nas?" — pisze na zakończenie Anastasiew.

* * *

To samo czasopismo opublikowało też obszerne omówienie książki Ireny Schiller „Stanisławski, a teatr polski", wydanej w 1965 r. nakładem PIW-u. Autorka recenzji Natella Baszindżagian podkreśla ogromny wkład pracy Ireny Schiller, bogactwo zebranego materiału oraz niezwykle trafną analizę teatru Stanisławskiego.

„PASJA" PENDERECKIEGO W SZWECJI

SZTOKHOLM

Jednym z największych wydarzeń w życiu kulturalnym Szwecji są tzw. tygodnie muzyki w mieście Oestersund, stanowiące zakończenie sezonu muzycznego. Tegoroczny „Tydzień" zapoczątkowały występy sztokholmskiej orkiestry filharmonicznej pod gościnną batutą Henryka Czyża, z udziałem skrzypka polskiego pochodzenia — Bruno Eichenholza. Gwoździem programu było wykonanie „Pasji" Krzysztofa Pendereckiego. Utwór przyjęto niezwykle gorąco.

Wysłannik dziennika „Svenska Dagbladet", Carl Aahlen, nie może w swej recenzji znaleźć dość słów zachwytu dla kunsztu polskiego dyrygenta. Aahlen stwierdza, że Czyż rozporządza rzadkim talentem łączenia artystycznej świadomości z najwyższym poziomem techniki dyrygenckiej, zdolnością wydobywania z orkiestry najcudowniejszych efektów. „Nie — pisze Aahlen — żadna orkiestra na świecie nie może się chyba zdobyć na coś więcej niż to, do czego ją zmusił Henryk Czyż".

„KRAM Z PIOSENKAMI"

BELGRAD

Ostatnio przebywał w Jugosławii zespół Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego z Kalisza. Wystąpił on w kilku miastach, m. in. w Tuzli, Sarajewie i Zenicy z „Kramem z piosenkami" Leona Schillera. Zarówno frekwencja oraz reakcja publiczności na przedstawieniach, jak i recenzje w prasie jugosłowiańskiej, świadczą o dużym uznaniu dla naszych artystów.

KSIĄŻKA O BRONIEWSKIM W OCZACH RADZIECKIEGO KORESPONDENTA

MOSKWA

Wydana w ub. roku praca Feliksy Lichodziejewskiej pt. „W. Broniewski". Wstęp, wybór materiałów i przypisy" spotkała się z pochlebną oceną W. Chorlewa na łamach „Zagadnień Literatury" — organu Związku Pisarzy ZSRR i Instytutu Literatury Światowej im. Gorkiego Akademii Nauk ZSRR. Autora recenzji interesują przede wszystkim opinie Broniewskiego o poezji rosyjskiej po roku 1917, znajdujące się m. in. w jego „Słowie do rosyjskiego czytelnika" zamieszczonym w przekładzie jego poezji (1961) oraz we fragmentach dziennika z lat 1918—1922.

Recenzję swoją kończy W. Chorlew w ten sposób: „Żaden przyszły badacz twórczości Broniewskiego nie będzie mógł pominąć książki Lichodziejewskiej".

POPULARNOŚĆ CONRADA WE WŁOSZECH

RZYM

Włoskie wydawnictwo Mursia opublikowało ostatnio obszerny (1248 stron) tom zawierający wszystkie opowiadania i krótkie powieści Józefa Conrada. Książka nosi tytuł „Tutti i racconti e i romanzi brevi". Jednocześnie nakładem tego samego wydawnictwa ukazała się biografia Conrada pióra Jocelyn Baines.

„POLKA FESTIVAL" W NOWYM JORKU

NOWY JORK

Od 23 do 25 czerwca br. w wielkiej sali imprezowej dzielnicy Manhattan w Nowym Jorku koncertowało 17 kapel polonijnych z całego wschodniego wybrzeża USA. 2,5-tysięczne audytorium słuchało tak popularnych w środowiskach polskich za oceanem polek, oberków i kujawiaków. Na parkiecie, mogącym pomieścić 1000 par, młodzież polonijna tańczyła ludowe tańce swego starego kraju.

W drugim dniu imprezy, której oficjalny tytuł brzmiał „New York City Polka Festival", przeprowadzony został wybór królowej balu. Do ostatecznych eliminacji stanęło 19 polskich dziewcząt. Jury punktowało nie tylko urodę kandydatek, lecz także ich wykształcenie, zawód, zainteresowania i przede wszystkim znajomość języka polskiego. Wybrana królowa balu otrzymała nagrodę „Orbisu" — 10-dniowy pobyt w Polsce. Bezpłatny przelot do kraju ufundowały „Lot" oraz „Irlandzkie Linie Lotnicze".

Zdarzenia tygodnia

Od 20 do 24 bm. gościmy w naszym województwie studencki 50-osobowy zespół pieśni i tańca z Drohobycza. Zespół koncertował w Przemyślu, Rzeszowie, Pustkowie i Dębicy. Po jutrzejszym występie na międzynarodowym obozie harcerskim w Babicy, uda się w drogę powrotną.

* * *

18 bm. w WDK w Rzeszowie otwarta została jubileuszowa wystawa dorobku artystycznego (malarstwo, rzeźba) 90 lat liczącego artysty amatora z Gorlic, Alfreda Długosza. Ekspozycja czynna będzie 2 tygodnie.

* * *

Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne organizuje w dniach 22, 23 lipca I Festiwal Estrady Ukraińskiej. W przeglądzie uczestniczyć będzie 12 zespołów artystycznych ukraińskiej mniejszości narodowej w Polsce, w tym jeden z Preszowa (Słowacja). Wystąpi również jeden zespół polski.

* * *

W Powiatowym Domu Kultury w Jarosławiu otwarta została wystawa amatorskiej twórczości plastycznej i ludowej (malarstwo, rzeźba, ceramika, hafciarstwo, metaloplastyka). Są to wyróżnione prace w rozstrzygniętym niedawno konkursie na amatorską twórczość artystyczną.

* * *

19 bm. przybył do Mielca w ramach wymiany bezdewizowej 100-osobowy zespół artystyczny „Pajo Kolarić" z Osijeka (Jugosławia). W czasie trzech koncertów w naszym województwie zespół zaprezentował mieszkańcom Mielca i Stalowej Woli pieśni i tańce południa Słowiańszczyzny. We wrześniu wyjeżdża do Jugosławii zespół „Rzeszowiacy".

* * *

Okręgowe Muzeum w Rzeszowie eksponuje w Sędziszowie Małopolskim wystawę pt. „Z badań etnograficznych w Mieleckiem". Wystawa prezentuje dorobek obozu naukowo-badawczego, który odbył się w tymże powiecie. Ekspozycja wystawiona będzie jeszcze w Mielcu, Rzemieniu, Przecławiu i Pustkowie.

* * *

W dniach 18—21 bm. odbył się w Dukli IX Ogólnopolski Zlot Turystów zorganizowany dla uczczenia 50 rocznicy Rewolucji Październikowej i Międzynarodowego Roku Turystyki. 21 lipca, odbyło się uroczyste zakończenie zlotu, połączone z dużą imprezą ku czci Święta Odrodzenia.

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

J. T. RZESZÓW: Nie skorzystamy. Zarówno „Szczęście" jak i „Święto matki" grzeszą gadulstwem, banałem i prymitywizmem. Nie dopatrzyliśmy się w tych wierszach poezji.

N. K. — TYRAWA WOŁOSKA: Nie reflektujemy na przekłady opowiadań radzieckich z podręczników szkolnych. Trudno nam również wyrazić opinię o jakości przekładu, gdyż nie dysponujemy oryginałem. Wydaje nam się jednak, iż udało się Pani zachować klimat prozy Paustowskiego. Radzimy zwrócić się z prośbą o wydanie sądu do redakcji tygodnika „Przyjaźń" w Warszawie.

W. N. RZESZÓW: Wiersze, które od Pana otrzymaliśmy, są dość interesujące. Mówią o dużej kulturze i dyscyplinie autora, wyobraźni i umiejętności organizowania lirycznego nastroju. Prosimy o dalsze próby poetyckie, a być może wkrótce będziemy coś drukowali.

„ADAMO": Niestety wiersze są złe. Wieje z nich pustka; brak im nastroju i jakichś treści intelektualnych.

J. R. SANOK: Pisze Pan: „ziemię noc naszła ponura, Księżyc zaświecił, pies szczeka... gromy z jasnego sypią się nieba, wicher zły świszcze i okropnie wyje"... Proszę nam wierzyć, że nam się także chciało wyć przy lekturze tych wierszy. Niestety tych dodatnich cech, o których Pan pisze, nie zauważyliśmy.

K. CH. WIŚNIOWA: Wiersz „Ojczyzna" mimo dobrych chęci autora i patriotycznych intencji nie ma żadnej wartości artystycznej. Swoim prymitywizmem formalnym i myślowym wywiera groteskowe wrażenie.

„RAFAŁ", „REX" HESTA — MIELEC: Nie skorzystamy. Wiersze nie mają wartości poetyckich.

Kalman Segal

Oczekiwanie

Zamieszkałem w dużym domu o błękitnych ścianach i jasnych oknach wypełnionych niebem.

W pustych pokojach niecierpliwie tykały zegary, a gdy wybijały godziny, nie odczuwałem lęku.

I wszystkie okna wychodziły na szarą drogę, którą mogłaś nadejść. I wszystkie stały otworem.

Przygotowałem to, co mogło nam być potrzebne: wodę, chleb, dzikie kwiaty, posłanie, a nawet lustro, w którym miałaś zobaczyć swoje najprawdziwsze oblicze.

Potem usiadłem na progu i czekałem.

O zmierzchu nad szarą drogą zamajaczył cień.

Ale mój pusty dom był już osnuty mgłą i nie dostrzegłaś go.

I nie dosłyszałaś słabego bicia zegarów, które wydzwaniając godziny, przymykały mi powieki i kładły na usta pieczęć.

Kłamstwo

Prosiłem:

— Moja piękna, powiedz mi słowo, na które czekam...

Dłonią dotknęłaś mojej twarzy i powiedziałaś:

— Mój kochany, kochany...

I w twoim smutnym spojrzeniu, pełnym dobrego współczucia, poznałem kłamstwo.

Wtedy opowiedziałem ci jakieś odległe wspomnienie o głodzie i o wyciągniętej ręce, w którą ktoś miłosiernie włożył kęs chleba i także opowiedziałem ci o pokorze wyciągniętych dłoni — o pokorze, którą znają tylko doświadczeni i mądrzy jałmużnicy.

Nie rozumiałaś co to ma wspólnego z naszą miłością.

Potem długo patrzyliśmy razem w lustro i ubolewaliśmy — ponieważ skóra na naszych twarzach była przeźroczysta jak szkło.

I już więcej nie chciałaś powtórzyć Twojego kłamstwa.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2051, 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.